

Pani Doktor czy Doktorka?

Feminatywy od lat są gorącym tematem w debacie publicznej. Dlaczego tak jest? Czy jest się czego bać? Jak wygląda to w przestrzeni akademickiej?

Historia feminatywów na ziemiach polskich nie zaczęła się wczoraj ani nawet w XXI wieku. Dyskusje nad bardziej „kontrowersyjnymi” formami feminatywów rozpoczęły się z początkiem XX wieku, kiedy kobiety weszły na rynek pracy w nowej rzeczywistości, a także podjęły kształcenie na uczelniach. Pismo „Poradnik Językowy” już w latach 30. XX wieku w związku z wątpliwościami czytelników odpowiadało, jak określać kobiety wykonujące konkretne zawody czy posiadające tytuły naukowe. Językoznawcy w tym czasie zdecydowanie zachęcali do tworzenia feminatywów, a jak wskazuje Martyna Zachorska w swojej książce „Żeńska końcówka języka”: „nie było [to] elementem emancypacji kobiet, ale jednym z przejawów ówczesnego pragnienia zachowania (...) tradycji polszczyzny, rozumianej w tym przypadku jako dążenie do zachowania regularności, symetrii w zakresie zjawisk derywacyjnych”.

Wśród zainteresowanych pojawiły się wątpliwości, czy w związku z ukończeniem przez studentkę studiów medycznych należy ją nazywać „doktorem”. Wypowiedział się na ten temat Roman Zawiliński w 1911 roku na łamach „Poradnika Językowego”. Badacz zwrócił uwagę, że kobiety wstydzą się swojej profesji, chciałyby „podszyć się pod płaszcz męski”, co jednak nie jest – w jego ocenie – wskazane. Jak jest obecnie?

Feminatywy na UAM-ie

Po stu latach od pierwszych „doktorek” społeczność akademicka na nowo podejmuje temat feminatywów. W 2019 roku, w statucie Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu, wskazano, że: „W oficjalnych dokumentach uczelni można stosować zarówno żeńskie, jak i męskie formy nazw stanowisk i funkcji”. W 2022 roku UAM przyjął Plan Równości Płci na lata 2022-2025, którego efektem jest ubiegłoroczna publikacja „Język równościowy w UAM w Poznaniu. Rekomendacje dla społeczności akademickiej ze szczególnym uwzględnieniem równości płci”. Autorkami „Rekomendacji...” są: prof. Agnieszka Kielkiewicz-Janowiak, prof. Hanka Błaszowska i dr Weronika Dopierała-Kalińska.

W dokumencie znajdziemy społeczne oraz naukowe uzasadnienie korzystania z feminatywów i sformułowań neutralnych płciowo, a także praktyczne porady, jak tworzyć komunikaty w duchu równościowym. Autorki podkreślają, że język tworzy rzeczywistość i jeśli jest wykorzystywany stronniczo, prowadzi do umacniania dyskryminujących postaw. Wskazują także, że język równościowy to nie tylko „zabieg retoryczny, ale wyraz empatii i tolerancji”, a „taka postawa wobec języka podkreśla jego sprawczość”.

Jak jest w praktyce?

– Rzeczywisty stopień posługiwania się feminatywami w przestrzeni akademickiej nie jest jednolity i zależy



Oktładka publikacji nt. języka równościowego w UAM

od wielu czynników. Otwartość na język inkluzywny przejawia się z jednej strony poprzez podejście indywidualnych jednostek, a z drugiej poprzez postawę wyrażaną w oficjalnych komunikatach instytucji. Uniwersytet jako złożona jednostka prezentuje pełen wachlarz opinii i postaw na ten temat. Zarówno w gronie osób studiujących, uczących, jak i zarządzających zauważalne są różnorodne podejścia, które ewoluują, a zmiany te zachodzą naturalnie. W niektórych środowiskach akademickich stosowanie języka inkluzywnego jest częścią podejścia otwartego na różnorodność, a deklaracje związane z używaniem feminatywów spotykają się ze wsparciem. Nie w każdej jednostce uczelnianej odbiór feminatywów jest jednakże pozytywny. Zdarzają się przypadki wyśmiewania takich praktyk, zarówno poprzez subtelne gesty, kpiące spojrzenia, jak i bardziej otwarte komentarze. Tego rodzaju reakcje są przejawem wykluczającego podejścia, które może zniechęcać do stosowania feminatywów, zwłaszcza w środowiskach mniej otwartych na zmiany językowe – mówi jedna z autorek „Rekomendacji...”, doktorka Weronika Dopierała-Kalińska z Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM.

Doktorka zauważa, że od momentu publikacji „Rekomendacji...”, zaszły dostrzegalne zmiany. – W oficjalnej komunikacji, wewnątrzuczelnianych dokumentach i mailach coraz częściej stosuje się feminatywy. Choć proces ten nie jest jeszcze w pełni zakończony, wyraźnie widać postęp, co daje nadzieję na dalszą normalizację tych form w przestrzeni akademickiej – przyznaje.

Nieprzyjemne komentarze

Na różnych fanpage’ach uniwersyteckich pojawiły się negatywne reakcje na publikację „Rekomendacji...”, w tym m.in. oskarżenia o „szerzenie nowomowy”. Doktorka Dopierała-Kalińska nie była nimi zaskoczona. Badaczki spotkały się z podobnymi reakcjami już wcześniej, m.in. w 2021 roku podczas realizacji kampanii „Tip-Top. Krok w stronę feminatywów”. – Podczas transmisji na żywo dotyczącej tego tematu doświadczyłyśmy ataków internetowych trolli, którzy próbowali krytykować ideę feminatywów, choć często brakowało im merytorycznych argumentów – mówi. – Tego typu grupy zazwyczaj celowo wywołują zamieszanie, aby zdyskredytować nowe inicjatywy i pomysły, szczególnie te promujące zmiany w języku lub podejściu do równości. Możemy jedynie przypuszczać, kto za tym stoi, ale sama strategia takich działań jest dobrze znana – podsyćanie sensacji i manipulowanie opinią publiczną – ocenia doktorka.

Warto zaznaczyć, że określanie kobiet połączeniem „pani [forma męska]” (np. pani doktor) nie jest błędem, jest jedną z możliwości wyrażania żeńskości. – Zachęcamy do stosowania feminatywów jako narzędzia promowania szacunku i inkluzywności, ale decyzja o ich użyciu zawsze należy do odbiorcy. Niestety, to właśnie ten dobrowolny charakter bywa często błędnie interpretowany jako próba przymusu, co staje się źródłem większości negatywnych komentarzy – przyznaje Weronika Dopierała-Kalińska.

Badaczka – tak, doktorka – nie?

W przestrzeni akademickiej rzeczywiście widać większą przychylność dla stosowania feminatywów. „Studentki”, „badaczki”, „wykładowczynie”... Widzimy te słowa na uniwersyteckich kanałach internetowych, słyszymy na salach wykładowych. Jednakże zauważyć można, że tytuły naukowe, takie jak „doktor”, „profesor”, „magister” wybrzmiewają niemalże tylko w formie męskiej. – Oficjalne nazewnictwo tych stopni nadal utrzymuje formy męskie, które są standardem w dokumentach. W rezultacie wiele osób, nawet tych otwartych na używanie feminatywów w innych kontekstach, wciąż automatycznie stosuje męskie formy tytułów naukowych. To dowód na to, jak głęboko zakorzenione są pewne normy językowe w naszej kulturze – tłumaczy doktorka. Zauważa też, że nie jest to nowa kwestia – Warto przypomnieć, że Maria Skłodowska-Curie w 1922 roku otrzymała stopień „doktorki wszech nauk lekarskich honoris causa” na Uniwersytecie Poznańskim. Mimo to wciąż potrzeba czasu, aby te formy stały się naturalne i powszechnie akceptowane – dodaje.

„Rekomendacje dla społeczności akademickiej ze szczególnym uwzględnieniem równości płci” można znaleźć między innymi na stronie internetowej UAM-u. Warto się z nimi zapoznać – być może będzie to pierwszy krok do zniwelowania lęku przed nimi.

Anna BIELECKA
annbie10@st.amu.edu.pl



Mały wspaniały fiat
s. 3

Polecamy



Odwaga i miłość
s. 5



Iluzje psychiki w kinie
s. 9



– Filozofia przyszłości?
s. 10-11

Od redakcji

Kochani Czytelnicy!

Zaczynamy właśnie nowy semestr i tym razem wracamy w powiększonym wydaniu! Zamiast 8 czeka na Was 12 stron. Mamy nadzieję, że przez przerwę międzysemestralną trochę odsapniecie i zebraliście siły na nowe wyzwania. Redaktorzy BUCa w tym czasie nie próżnowali – pracowali nad nowymi tekstami, do przeczytania których serdecznie zapraszamy.



W tym numerze znajdziecie jeszcze więcej tematów kulturalnych – zarówno recenzji filmów, spektakli, a także gry, jak i popkulturalne podsumowanie ubiegłego roku. Janek przybliży motyw natręctw w kinie, a Mikita pyta, czy stoicyzm stanie się filozofią przyszłości. Kajtek zabiera czytelników w podróż kultowym małym fiatem, a Agnieszka zaprasza do świata zagadek. Znajdzie się też coś oczywiście dla fanów sportu – standardowo na ostatnich stronach wydania.

Mam nadzieję, że z równie wielką radością jak my przyjmiecie informację o powiększonym wydaniu. Nie pozostaje mi nic innego jak życzyć Wam przyjemnej lektury!

Redaktorka naczelna
Iwona Tomaszewska

Redaktorka miesiąca



Ania Bielecka

Studiuję na drugim roku Dziennikarstwo i komunikację społeczną. Dużo czytam, szczególnie literaturę faktu. Jestem fanką feministów, kocham kwiaty i ciekawostki na każdy temat. Piszę od lat: pamiętniki, artykuły do szkolnych mediów, historie do szuflady. Już w wieku 9 lat, ciocia z Houston w odpowiedzi na mój list wróżyła, że „chyba będę redaktorką”. Guess what!

„Adolf by się przydał”. Pathos w sieci

My – dobrzy, oni – źli. Ten dycho-tomiczny podział od zawsze wykorzystywany był przez władze i grupy interesów. Wraz z rozwojem internetu jeszcze bardziej się nasilił. Media społecznościowe stały się narzędziem w rękach osób, które w bardzo skuteczny sposób wykorzystują polaryzację społeczeństwa. Jak to działa?

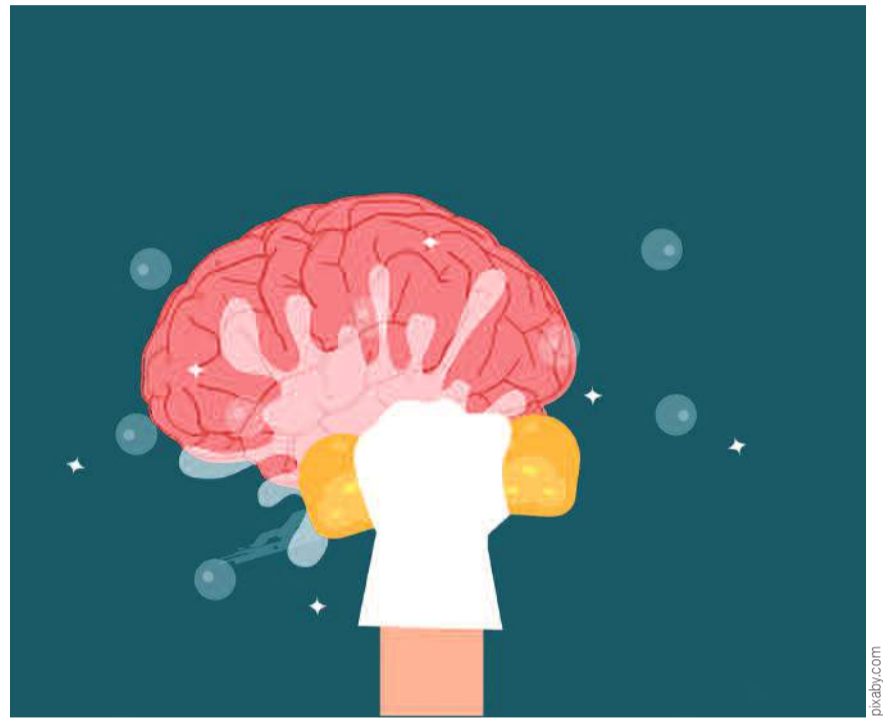
Żeby sprawdzić polaryzację społeczeństwa w mediach społecznościowych, wystarczyło dołączyć do dwóch facebookowych grup związanych z PiS-em (60 tysięcy członków) i Konfederacją (43 tysiące). Pierwsza z nich związana jest z politykiem, a kiedyś działaczem społecznym, ze Szczecina, Dariuszem Mateckim, który w kręgach swoich przeciwników znany jest pod pseudonimem „hejter”. Jest też najczęściej pojawiającym się posłem na stronie. Na forum sympatyków Konfederacji swoje posty publikują Konrad Berkowicz, Roman Fritz czy Witold Tumanowicz. Dodatkowo udzielają się na niej działacze lokalni.

Mówiąc o prawicy, jednocześnie trzeba zaznaczyć, że również środowiska lewicowe mają swoje „bańki informacyjne”, które wpływają na polaryzację społeczeństwa.

Nie dla Owsia!

Poniżej kilka komentarzy w odniesieniu do publikacji znajdujących się na grupach. Uwaga, pisownia oryginalna (!):

„BEZBOŻNIK - " orkiestra będzie "grać" do końca świata i o jeden dzień dłużej- stawia siebie i tzw. orkiestrę ponad Boga (to BÓG JEST ALFA I OMEGA-POCZĄTEK I KONIEC) a poza tym włączył się w czynnie w dyskusję nt EUTANAŻJI OSÓB STARSZYCH (dziś czeka na odpowiedni moment?) - ANI GROSZA ANI DZIŚ „ANI JUTRO; menda a głupi rodzice wysyłają dzieci na zbiórkę pieniędzy dla esbeka złodzieja, Ale wstyd! Owsia ukieł przed pytaniami dziennikarzy o rozliczenie środków na pomoc powodziom i billboardy. Udo-stępnij i zostaw lajka jeśli nie popierasz polityki Owsia.”; „Wspierając Owsia, de facto wspierasz Tuska i dewastowanie naszej ojczyzny. Dziś wykorzystują cały aparat państwa do finansowania prywatnej fundacji Owsia. Nie wpłacam na polityka Owsia. Ty również? Zostaw lajka!”; „Jak uważasz, czy pochodzenie Bodnara ma wpływ na znęcenie się przez prokuraturę nad polskim księdzem i polskimi kobietami? Napisz w komentarzu! Albo: Precz z dyktaturą Tuska i Bodnara.



Prawicowe grupy mają charakter antyrządowy

Znów ustawiają sędziów do procesów politycznych? Jak za komuny?”

Bartosz Bocheńczak (Konfederacja), odznaczony „gwiazdą grupy” (zgodnie z oznaczeniami w grupach na Facebooku), 30 grudnia 2024 opublikował post, w którym widniała twarz Donalda Tuska i napisał: „Na moje oko to on będzie siedział”. W odpowiedzi na zdjęcie w komentarzu można było przeczytać opinie takie jak: „Ja bym wołał, żeby wisiał”.

Komentarze osób odwiedzających stronę utrzymane są w podobnym stylu co na grupie zwolenników PiS-u. Jeszcze raz przytoczę kilka z nich: „w Polsce mamy nie tyle demokrację walczącą ale już rewolucję bolszewicką, która działa bez zachowania norm i praw obowiązujących w RP...; Adolfa trzeba, on ich uspokoi” (komentarz o sylwestrze w Berlinie). O Rafale Trzaskowskim można było się dowiedzieć, że jest „debilem”.

„Bańki” jak wirusy

Nawet ktoś nieznający się na polityce może wyczuć wysoki poziom negatywnych emocji i wrogi stosunek do wyżej wspomnianych osób. Komentarze obu grup skierowane są przeciwko Unii Europejskiej, imigrantom, polityce rządu. Większość ataków dotyczy Platformy Obywatelskiej, w szczególności Donalda Tuska i Adama Bodnara. Krytykowane są też osoby homoseksualne i transpłciowe.

– Obecnie trwa spór, czy «bańka informacyjna» jest przyczyną czy efektem rozprzestrzeniania się omawianego problemu. Do przyczyn można zaliczyć dobór znajomych o podobnych poglądach, zwłaszcza tych online, a efektem jest

większa chęć monetyzacji treści przez korporacje technologiczne. Jeśli chodzi o mechanizmy grupowego myślenia, wpływają one pozytywnie na skuteczność propagandy – mówi dr Jakub Jankowski z WNPiD UAM, który w swojej pracy badawczej zajmuje się problematyką mediów społecznościowych, zawartej w nich propagandy i zagrożeń z tym związanych. – Im bliżej jesteśmy siebie, tym łatwiej siebie zarażać – podsumowuje badacz.

Strachem i emocją

Kanały związane z omawianymi partiami próbują, m.in. poprzez tworzenie oddzielnych społeczności na zasadzie „my-oni”, wykorzystywać konflikt i polaryzację w celu zwiększenia kapitału politycznego. Liderzy polityczni wykorzystują przekonania wyborców i dzięki informacjom przez siebie opublikowanym utrwalają tożsamość poszczególnych osób. Posługują się również retoryką strachu, złości i buntu wobec rządzących, którzy – według twórców publikacji – szkoda Polsce i prowadzą ją do upadku.

Arystoteles wyróżniał trzy cechy, które kształtują dobrą mowę. Logos, sfera dotycząca rozumu, pathos – emocje, ethos – wiarygodność. W wielu społecznościach internetowych brakuje logosu. Przeważa pathos. A ethos też pozostawia wiele do życzenia.

Na koniec, jeśli chcecie zobaczyć obie grupy, włączcie Facebooka i wpiszcie: Popieram PiS i Suwerenną Polskę oraz Konfederacja – Forum Sympatyków.

Jakub MARCINIAK
jakmar13@st.amu.edu.pl



Wydawca
Wydział Nauk Politycznych i Dziennikarstwa
Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza
w Poznaniu
ISSN 1642-1140
Redakcja
Wydział Nauk Politycznych
i Dziennikarstwa, ul. Umultowska 89a,
pokój 144, 61-614 Poznań
e-mail: teksty.buc@gmail.com

Redaktor naczelna
Iwona Tomaszewska
**Zastępca redaktora
naczelnego**
Agnieszka Łukaszewska
Sekretarz redakcji
Agnieszka Łukaszewska
Numer makietywały
Iwona Tomaszewska,
Agnieszka Łukaszewska
Wydawca numeru

Izabela Tomaszewska
Redakcja
merytoryczna:
Jakub Marciniak
Jędrzej Wróblewski
Amelia Ogrodowczyk
Filip Szymkowiak
Redakcja:
Anna Bielecka
Zuzanna Borak

Natalia Borodkina
Mateusz Chojnowski
Paulina Cichoszewska
Joanna Dąbrowska
Jacek Dobiański
Benita Dolniak
Wiktoria Duda
Łukasz Grabia
Weronika Grochańska
Dominik Janicki

Dominika Jerzak
Wiktoria Jesionka
Weronika Jóźwiak
Bartosz Kabaciński
Mateusz Kalmuk
Stanisław Karalus
Weronika Karnaból
Jagoda Kasprzyk
Igor Lipińska
Igor Listopad
Agnieszka Łukaszewska

Wiktoria Konieczna
Karolina Korkosz
Olga Kregielska
Natalia Król
Karolina Kubiak
Klara Kucza
Kajetan Kuszak
Olga Lipińska
Igor Listopad
Mikaela Spiralska

Jakub Marciniak
Jan Mazurczak
Olga Michalska
Amelia Ogrodowczyk
Anna Pajchrowska
Ines Przybył
Yelizaveta Rayetskaya
Weronika Rybacka
Jasmina Skrobańska
Milena Spiralska

Alicja Sugier
Filip Szymkowiak
Izabela Tomaszewska
Anastasiya Trafimuk
Mikita Tsiabus
Magdalena Walczak
Anna Wielgocka
Ada Wójcik
Wiktoria Wójcikiewicz
Jędrzej Wróblewski
Michał Wybrański

Olivia Zajkowska
Korekta:
Paulina Cichoszewska
Wiktoria Duda
Wiktoria Jesionka
Weronika Jóźwiak
Weronika Karnaból
Klara Kucza
Kajetan Kuszak
Ada Wójcik

Wiktoria Wójcikiewicz
Social media:
Natalia Borodkina
Dominika Jerzak
Weronika Karnaból
Jagoda Kasprzyk
Wiktoria Konieczna
Karolina Korkosz
Natalia Król
Olga Lipińska

Anna Pajchrowska
Yelizaveta Rayetskaya
Anastasiya Trafimuk
Magdalena Walczak
Ada Wójcik
Wiktoria Wójcikiewicz
Olivia Zajkowska
Autor logo
Andrzej Szymczak

Opieka nad redakcją
Aleksandra Konieczna
Skład komputerowy
Tomasz Szukała
Druk
Drukarnia w Bydgoszczy
ul. Grunwaldzka 229
85-438 Bydgoszcz
Redakcja zastrzega sobie
prawo do redagowania
i skracania nadesłanych
tekstów.

Mały, wspaniały fiat

Potransformacyjna rzeczywistość miała przynieść mu zapowiadany koniec. Tymczasem on, symbol minio-nego ustroju, nie tylko się w niej odnalazł, ale też spełnił się w nowej dla siebie roli – samochodu kultowego. W tym roku od zakończenia produkcji małego fiata mija dwadzieścia pięć lat, a wciąż spotykamy go na ulicach całego kraju. I nie tylko tam.

„Telewizor, meble, mały fiat: oto marzeń szczyt” – wyśpiewywał w latach 80. Grzegorz Markowski, wokalista zespołu „Perfect”. Kilkanaście lat później Adaś Miauczyński, alter ego Marka Koterskiego i zarazem główna postać jego filmów, nazywał go już „pomarańczowym trupem”. Dziś Fiat 126p w zbiorowej świadomości znajduje się w zupełnie innym miejscu. Z jednej strony jest tym samym małym i niezbornym „kaszlakiem” (tak złośliwie nazywano go od wydawanego przez jego silnik dźwięku) o podgrzewanej tylnej szybie, ratującej zmarznięte od pchania dłonie. Z drugiej – to pocieszny samochód-anegdota, którym podróżowało się skądkolwiek i dokądkolwiek, w którym wszystko można było naprawić za pomocą śrubokręta. Niezależnie, czy ma się z nim własne, unikatowe wspomnienia, czy jest się maluchowym neofitą.

Z ziemi włoskiej do Polski

W ciągu prawie trzydziestu lat Fabryka Samochodów Małolitrażowych w Bielsku-Białej i Tychach wypuściła na świat ponad trzy miliony egzemplarzy modelu 126p. Mały fiat miał być samochodem polskim (choć na licencji włoskiej i z włoskich części złożonym) dla polskich obywateli i obywateli. Miał odpowiadać na zapotrzebowania i wyzwania codzienności, być jej nowoczesnym elementem, dzięki któremu Polki i Polacy staną się mobilni i – zachowując pewien umiar – niezależni.

Poza rynkiem polskim samochody przeznaczono także na eksport. Malucha wysyłano nie tylko do Włoch i do sąsiednich państw bloku wschodniego, ale także do bardziej odległych państw zachodnich, a nawet do Australii i Nowej Zelandii. W latach 80. trafił też do Chin – w tamtejszym Wenzhou pełnił niespotykaną nigdzie indziej funkcję taksówki.

Maluch w III RP

Wraz z przemianą Polski po 1989 roku coraz śmiej mówiono o wygaszaniu produkcji małego fiata, a wkrótce podejmowano pierwsze działania. Na początku lat 90. do produkowania samochodu przewidziano tylko jedną z dwóch fabryk, tę w Bielsku-Białej, drugą – tyską – przeznaczono zaś na potrzeby budowy jego następcy, czyli Fiata Cinquecento. Oba modele cieszyły się jednak ogromną popularnością (to najchętniej kupowane samochody w 1996 i 1997 roku), więc przez siedem kolejnych lat produkowano je równocześnie, po sąsiedzku. Aż do 1998 roku, kiedy zamknięto produkcję Cinquecento.

Produkcję Fiata 126p zakończono oficjalnie dwa lata po jego następcy. Wolnorynkowa rzeczywistość, jeszcze niedawno laskawa, pod koniec dekady okazała się bezwzględna także dla Malucha. U progu milenium przestał być konkurencyjny dla samochodów w jego kategorii, a wytwarzanie go nie było już dłużej opłacalne. Ostatnie tysiąc wyprodukowanych w Bielsku-Białej sztuk to pożegnalna, upamiętniająca model seria żółtych i czerwonych fiatów o nazwie „Happy End”.

Motoryzacyjna emerytura

Choć przez ćwierć wieku nie wyprodukowano żadnego nowego egzemplarza, mały fiat ma się dobrze. Od dawna nie jest wprawdzie najpopularniejszym samochodem na krajowych drogach, lecz jak mało który wytwór polskiej techniki odnalazł się we współczesnych realiach, także w popkulturze. Mimo że dawniej przytrafiały mu się role w filmach (na przykład u wspomnianego już wcześniej Marka Koterskiego w „Nie śmieszno”) czy serialach (choćby jako samochód inżyniera Karwowskiego w „Czterdziestolatku”) to na epizod w teledysku – i to brytyjskiego indie-rockowego zespołu – musiał czekać do 2011 roku. To właśnie tam, w klipie do piosenki „Re-Wired” zespołu Kasabian, widzimy czterech rosyłych Anglików ściśniętych pokracznie w naszym Maluchu. Oraz samego Malucha z zamontowaną brytyjską rejestracją, do której nie sposób się przyzwyczaić.

Z myślą o osobach, dla których obcowanie z małym fiatem sens ma jedynie na żywo, przewidziano przedsięwzięcie pod nazwą Maluch Trophy. To organizowane od 2010 roku wyścigi, których najważniejszymi zasadami są duch fair-play i wzajemny szacunek oraz – oczy-



Zaletą Malucha jest odnajdywanie się w każdych warunkach

wście – posiadanie własnego 126p. Zawody odbywają się między innymi na Torze Poznań, a wstęp na nie jest bezpłatny. Osobom o spokojniejszym usposobieniu pozostaje zaś wypatrywać jednego z piętnastu tysięcy wciąż poruszających się po ulicach polskich miast Maluchów.

Samochód nie dla wszystkich

Założenia gierkowskiej epoki przewidywały, że Fiat 126p będzie dla narodu polskiego tym, czym kilkadziesiąt lat wcześniej dla narodu włoskiego był Fiat 500 – rewolucjonizującym, acz prostym samochodem dostępnym dla każdego. Tym, którzy w czasach PRL-u nie doczekali jednak przydziału na samochód, nowego Malucha jako najtańsze dostępne podówczas auto oferował wolny rynek demokratycznej Polski.

Tymczasem dziś, w pierwszych tygodniach 2025 roku, po dawnej przystępności pozostał jedynie cień wspomnień. Za Fiata 126p na jednej ze stron aukcyjnych zapłacić trzeba bowiem średnio prawie 20 tysięcy złotych. Najdroższa oferta na tym portalu wynosi aż 60 tysięcy, średnia półka to około kilkunastu tysięcy, zaś za Malucha przeznaczonego do gruntownego remontu wyłożyć trzeba już „tylko” kilka tysięcy złotych. Dla porównania – piętnaście lat temu średni koszt małego fiata wynosił 1400 złotych.

Kajetan KUSZAK
kajkus@st.amu.edu.pl

Popkultura w pigułce

Popkultura niemal co roku jest bogatsza o nowe wydarzenia, ikoniczne momenty i – oczywiście – nowe memy. Czekając na to co przyniesie rok 2025, nadal wspominamy ubiegły, który pod tymi względami nie zawiódł. Nie zawsze zdarza się, że w jednym roku dzieje się aż tyle.

Od konkursów na sobowtóry, przez „brat summer”, kończąc na komitach na rozdaniach nagród. Rok 2024 stał się zdecydowanie jednym z tych, których szybko nie zapomnimy i często będziemy do niego wracać pamięcią.

Muzyka a świat

Jednym z największych i najbardziej rozpoznawalnych wydarzeń była trasa koncertowa Taylor Swift, „The Eras Tour”. Rozpoczęła się ona w marcu 2023 roku, a zakończyła – w grudniu 2024 roku. W tym czasie artystka odwiedziła dwadzieścia jeden krajów, w tym po raz pierwszy Polskę. „The Eras Tour” stało się wydarzeniem jedynym w swoim rodzaju na skalę światową. Jest to nowe spojrzenie na trasę poświęconą największym hitom artystki. Mimo że Taylor daleko jeszcze do zejścia ze sceny, to i tak było to efektowne podsumowanie jej dotychczasowej kariery. Czego można się po niej spodziewać w tym roku? Na ten moment nic nie jest pewne. Być może zrobi sobie rok przerwy albo wyda dwie wyczekiwane nowe wersje płyt „Taylor Swift” i „Reputation”. Chodzą też pogłoski o stworzeniu przez Swift własnego filmu pełnometrażowego. Na jej jakiegokolwiek działania musimy jeszcze poczekać.

Oczywiście Taylor Swift nie była jedyną gwiazdą muzyki, która miała rok pełen sukcesów. Trudno było nie usłyszeć o „Brat summer”, czyli najgłośniejszym trendzie lata 2024. Jego geneza wzięła się od Charli XCX i jej ostatniego albumu „brat”. Płyta stała się pewnego rodzaju modą, a dla niektórych – nawet filozofią. Bycie „brat” dla fanów oznacza nieskrępowaną ekspresję siebie oraz autentyczność. Do tego wszystkiego dochodzi także bardzo rozpoznawalny zielony kolor okładki albumu, który stał się już symboliczny. Album Charli, jego odbiór i cały ruch związany z „Brat summer” to fenomen, którego nie było od dawna w popkulturze. Na pewno zostanie zapamiętany na długo i raczej nie będzie w stanie przebić tego, jak „brat” stał się albumem tamtego lata.

Muzyka była dużym wyznacznikiem trendów, jak i tworzyła popkulturę w zeszłym roku. Trzeba wziąć pod uwagę chociażby to, ilu znanych artystów wydało swoje kawałki. Znajdą się między innymi Ariana Grande z „Eternal Sunshine”, Kendrick Lamar z jego niezapowiedzianym albumem „GNX”, Beyonce, która próbuje swoich sił z country w „Cowboy Carter”, czy Sabrina Carpenter z „Short N’ Sweet”. Wielu mówiło, że rok 2025 będzie „suszą”, jeśli chodzi o świat muzyki, jednak nie zapowiada się na to. Wydany został już album The Weeknd, na początku marca ukaże się płyta Lady Gagi. Warto czekać również na zapowiedziany krążek Lany del Rey.

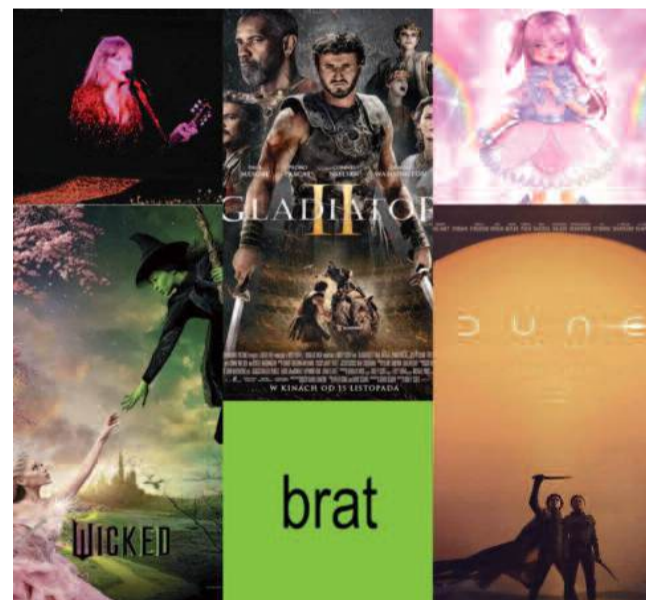
Między „Wicked” i „Gladiatorem”

Dużym widowiskiem okazało się „Wicked”, czyli filmowa adaptacja musicalu o tym samym tytule. Nie tylko ze względu na film sam w sobie czy gwiazdy w nim grające, ale także dzięki marketingowi. Trasa aktorów w celu promocji adaptacji stała się wręcz ikoniczna. Zachowanie Ariany Grande i Cynthii Erivo, które wstrząsały się po każdym pytaniu, było parodiowane już dziesiątki razy, jednak i tak najbardziej zapamiętanym momentem zostanie wywiad z Holding Space do tekstu piosenki „Defying Gravity”. W tym roku ma się ukazać druga część: „Wicked: For Good”.

Tego samego dnia co premiera filmu „Wicked”, do kin trafił „Gladiator II”. Taka sama sytuacja miała miejsce w 2023 roku z filmami „Barbie” i „Oppenheimer”. Wtedy ze strony fanów obydwu produkcji z racji premiery tych dwóch bardzo różnych od siebie filmów powstał trend „Barbenheimer”. Teraz także próbowano stworzyć coś podobnego. Jednak nie odbiło się to tak ogromnym echem jak poprzednio. Zawsze jest szansa na to, że dwa filmy będą miały premierę tego samego dnia, mimo to rzadko kiedy mówi się o tym tak głośno, jak w przypadku „Barbie” i „Oppenheimera”.

2024 niepokonany?

Warto też zwrócić uwagę na inne wydarzenia i premiery, które zdominowały poprzedni rok. Jednym z nich była premiera „Dress to Impress”. Jest to gra dostępna na Robloxie. Polega na konkursie mody, w którym uczestnicy muszą ubrać się odpowiednio do tematu, a następnie biorą udział w głosowaniu.



Rok 2024 przyniósł nam mnóstwo niesamowitych wydarzeń w popkulturze

Bardzo popularne były także konkursy na najlepszego sobowtóra danego celebryty. Tego typu wydarzenia zawsze cieszyły się dużą popularnością, a w zeszłym roku przeszły swój renesans. Wszystko zaczęło się od castingu na tego, kto najbardziej przypomina aktora Timothée Chalameta. Przyszło wielu, a o całym wydarzeniu stało się bardzo głośno. Od tamtej pory były organizowane konkursy na znalezienie sobowtóra takich gwiazd jak: Zendaya, Paul Mescal, Harry Styles, Zayn Malik czy Jungkook.

W zeszłym roku wydarzyło się o wiele więcej, o czym można by wspomnieć. Chociażby konflikt między raperami Kendrickiem Lamarem i Drakeiem, przemiana JoJo Siwy, Met Gala czy Chappell Roan, która wyznaczała granicę z fanami. Trudno jednak zmieścić wydarzenia jednego roku w krótkim artykule. Czy 2025 rok ma szansę być tak samo bogaty, jeśli chodzi o popkulturę? Zapewne i teraz wydarzy się coś godnego zapamiętania, ale trzeba przyznać, że popkultura jest postawiona bardzo wysoko.

Mateusz KALMUK
matka8@st.amu.edu.pl

Król z doświadczenia

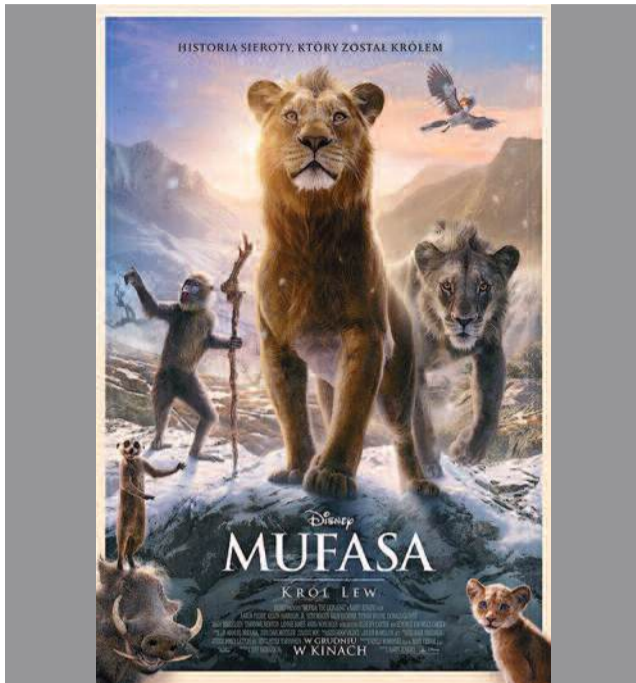
Świat Disneya wzbogacił się o kolejną animowaną produkcję z uniwersum „Króla Lwa”. Tym razem gwiazda pierwotnej odsłony Simba schodzi na dalszy plan, aby ukazać historię swojego ojca Mufasy. Nie jest to jednak typowa opowieść o sielskim życiu królewicza, mającego w przyszłości zwyczajnie zasiąść na tronie. W zamian za to twórcy przedstawiają nam postać sieroty, którego do objęcia władzy doprowadziła życiowa wędrówka. Rezygnacja z ustanej różami ścieżki zabiera widzów w niesamowitą podróż pełną niezwykle istotnych przekazów. Z kolei genialny humor, świetna animacja i muzyka pozwalają na przyswojenie ich, nie pozbawiając odbiorców wysokiej klasy rozrywki.

Nowa odsłona afrykańskich przygód umożliwia nam zagłębienie się w całą pierwotnie przedstawioną historię. Rozwinięcie wątku ojca Simby to bowiem coś, co pozostawiało dotychczas ogromny niedosyt. Nie inaczej było, jeśli chodzi o kwestię Skazy, w którego przypadku twórcom udało się wyjaśnić genetykę jego podłych zachowań. Nie obyło się również bez wątków romantycznych i nakreślonej niegdyś nieszczytliwej miłości brata Mufasy oraz jego wybranki Sarabi. Twórcy nie zapomnieli też o Rafikim i Zazu, których początki w nietypowym stadzie także zostały ujawnione.

Warto podkreślić, że prequel kontynuuje dostarczanie wartościowych przekazów, które jak zwykle dają dużo do myślenia, a momentami nawet doprowadzają do łez. Wszystko to okraszone zostało świetnymi efektami i przyjemną – choć nie powalającą tej z pierwotnego filmu – warstwą muzyczną. Nie zabrakło też humoru, do jakiego zdążył nas już przyzwyczaić Disney, pielęgnując m.in. postacie Timona i Pumbaa. Wszystkie te elementy, w połączeniu ze znanymi już widzom melodramatami, wprowadzają w niesamowity, nostalgiczny nastrój. Jest to zatem idealny zestaw dla filmu poprzedzającego pierwowzór.

Wędrówka życia

Historia ukazana w filmie pokazuje nam istotę tego, że to, kim się rodzimy, wcale nie jest najważniejsze. Koniec końców to właśnie Mu-



Każdy ma miejsce w wielkim kręgu życia

fasa, bez krzywej szlachetnej krwi, został królem. Młody lew parł do przodu, stale ucząc się i nabywając cechy prawdziwego władcy. Tym samym Taka – znany szerzej jako Skaza – został pozbawiony tego przywileju mimo swojego pochodzenia. Perfekcyjnie uwydatnia to fakt, że najważniejsze jest to, kim się stajemy na przestrzeni całego życia. Słabe podążanie za narzuconymi z góry schematami z reguły nie pozwala nam na dojście do celu. W zamian za to zabiera nam możliwość dostrzegania tego, co naprawdę jest dla nas ważne. Tak jak dążenie Skazy do objęcia tronu udaremniło mu spełnienie tej misji, zrzucając go na ścieżki oddalające od władzy.

Należy też zwrócić uwagę na źródło jego postępowania, a jest nim toksyczne zachowanie ojca, narzucającego mu konkretny sposób myślenia. To właśnie złe wychowanie w głównej mierze przyczyniło się do ukształtowania tak destrukcyjnej osobowości Skazy. Nie miał on jed-

nak wystarczającej motywacji, by zmienić swój światopogląd, ciągle tkwiąc w kreowanej od najmłodszych lat bańce. Jego postać idealnie pokazuje więc, jak nie postępować podczas realizacji swoich ambicji.

Miejsce dla każdego

Wspólna przygoda lwich braci uwydatnia również potrzebę jednoczenia się i akceptacji. Współpraca dzikich kotów z ptakiem i mandrylem na pierwszy rzut oka może nie być czymś oczywistym. Jednak pokazuje ona, że każdy odgrywa pewną rolę, bez której nie da się osiągnąć największych pragnień.

Nauka przez samca umiejętności przydatnych jedynie samicom także podkreśla istotę z pozoru niepotrzebnych elementów w życiu. Nawet nielojalne zachowanie Skazy – co dobitnie potwierdził Mufasa, zostawiając go w stadzie – nie pozwoliło go skreślić. Wszystko to zadziało się po to, aby doprowadzić głównego bohatera w odpowiednie miejsce, jakim było harmonijne Milele. Można zatem wyciągnąć z tego niezwykle wartościową lekcję przypominającą o tym, o czym często zapominamy. Wszystko, co przytrafia się nam w życiu, jest po coś – zarówno te złe, jak i dobre rzeczy. Każda z tych chwil kształtuje nas i pozwala stawać się tym, kim chcemy. Życiowa wędrówka wielkiego Mufasy powinna dobitnie o tym świadczyć.

Utopijna nadzieja

Historia powszechnie znanego lwiego króla zdecydowanie łamię różne schematy i daje nadzieję. Przedstawia przy tym też wspomniane wartości, które są istotne z punktu widzenia świata, w jakim dane jest nam żyć. Podkreślenie wyjątkowości, siły i istoty każdej egzystencji, funkcjonowanie w społeczeństwie szanującym te kwestie, to zdecydowanie jeden z ważniejszych oraz wybrzmiałych w filmie morałów. Wartym uwagi jest określenie grupy docelowej produkcji, którą nie są jedynie dzieci, ale też dorośli. W końcu morały są przydatne na każdym etapie naszego życia. Co ważne, w ich przyswajaniu pomaga sukcesywnie kreowana w filmie nostalgiczna atmosfera, wywołująca silne emocje.

Wszystkie te elementy w połączeniu z rozwinięciem wątków znanych z „Króla Lwa” nadały pełni całej historii. W konsekwencji ciekawość i niedosyt widzów zapewne będą zaspokojone. Zadanie prequela zostało więc spełnione. Dzięki niemu świat obiegną jeszcze jedna ważna informacja. Naszym przeznaczeniem jest doświadczenie, które w efekcie doprowadzi nas do Milele – celu naszej życiowej wędrówki.

Wiktorija JESIONKA
wikjes@st.amu.edu.pl

Dom niechcianych

Kukułki podrzucają swoje jaja do cudzych gniazd. Człowiek niewiele różni się od tych ptaków. Oto krótka opowieść o spektaklu Mai Kleczewskiej – sztuce, która stawia wyzwania wszystkim swoim bohaterom.

Strach ma wielkie oczy. Szczególnie w obecności obłąkanego spojrzenia spoglądającego spod okularów. Nieobecność wzroku nie budzi niepokoju. Ona rozwierca świdrem spokój ducha. Gęsią skórę dokamnia gęsta mgła. Przywodzi na myśl scenografię drugiej odsłony kultowej już gry „Silent Hill”. Czarna sylwetka człapka w ukrytym świetle. Przybliża się, oddala. Gra światła.

Doskonała klaustrofobia

Kolory dzielące po połowie przestrzeń ścian. Zieleń od spodu, żółć od stropu. Mozaika na podłodze przypominająca planszę do gry w warcaby. Ściana działowa z szerokim oknem pełniącym rolę dyżurki. Kilka krzeseł i dwa stoły. Na koniec deser. Wysoka na kilka metrów instalacja, imitująca szybę podzieloną na kilka mniejszych okien. Scena to nie kilka desek. To miejsce. Chłodne, sterylne, odległe.

Szpital ma wielką moc. Uzdrawia i usprawia. Jest jednak nie tylko panem życia. Władza także śmiercią. Separuje i odbiera. Pozwala pacjentom na powolne spajanie się z nim. Zupełnie jak wielki żołądek trawiący zalegającą wewnątrz treść. Dla bohaterów „Lotu nad kukułczym gniazdem” – jest ostatnim przystankiem. Uwięzieni, na własne życzenie, tkwią w zakładzie dla psychicznie chorych. Za jego murami pozostały ich życia. Nieistotny epizod. Należy go odrzucić jak zbędny balast. Grunt to podążać za rutyną. Nasiąkniętym bezwzględnością dyscypliną harmonogramem, mającym wartość terapeutyczną. To doktryna będąca drogowskazem dla pacjentów. W gruncie rzeczy personel także potrzebuje pomocy. Albo dobiecia.

Matrioszka uwięzienia

Rzeczywistość stworzoną przez Kena Keseya przyrównuje się do twórczości Kafki. Opresyjny system zawłaszcza wolność jed-



Spektakl Kleczewskiej to stodko-gorzka opowieść

nostki. Jest absurdalny i wulgarny. Bazuje na regulacjach będących poza zasięgiem szarego człowieka. Pluje w twarz każdemu, kto próbuje stanąć z nim do walki. To sprzeczność z ideałami panującymi w kraju, w którym pisarz tworzył. Państwa demokracji, liberalizmu i wolności. W Ameryce każdy obywatel ma prawo wyrażać siebie – ale tylko w narysowanych przez rząd granicach. Być może pisarz otworzył bramę dla tandemu Deleuze-Guattari. Ten zaś w książce „Anty-Edyp” wyłożył koncepcję, w myśl której osoby dotknięte schizofrenią powinny zaprzestać leczenia. Choroba jest bronią w walce z opresyjnym otoczeniem. Dekonstruuje gnębiący maluczki świat.

Maja Kleczewska dokonuje własnej interpretacji treści powieści. Nie burzy przekazu. Nadaje mu świeżość. Protagonista Patrick McMurphy staje się Patricją. Wtłoczoną w przemocowy kolektyw zdominowany przez kobiety. Skrajny feminizm i mizandria bulgoczą pod kitlami. Wylewają się kaskadami, w chwilach upodlenia i gniewu. Czuć żądzę zemsty za te wszystkie lata usługiwania i podporządkowania. Równouprawienie nie ma opierać się na równości. Zamiast tego ma nastąpić odwrócenie ról. Obalenie patriarchy i instalacja matriarchy. Agresja o dwóch twarzach – bestialskiej i subtelnej, godzi w podstępnych zakładu. Jest jednak jak gumowe ostrze, krzywiące się po dotknięciu kaftana bezpieczeństwa.

Obfitość twarzy

Charaktery postaci krzątających się po scenie są wyraźne. Każdy z bohaterów wyróżnia się czymś. O każdym można coś powiedzieć. Widz nie uświadzy obecności statysty, który zapełnia przestrzeń – tylko dlatego, że reżyserka nie miała pomysłu na rolę. To wielki atut. Nawet starszy mężczyzna na wózku czy kobieta skulona pod ścianą przez 140 minut – mają swoje miejsce. W trakcie spektaklu nie zabierają głosu ani razu. Ich milczenie jest wystarczająco wymowne.

Na szczególne wyróżnienie zasługuje Antonina Choroszy. Aktorka, która nie wcieliła się w siostrę Ratched. Zamiast tego, zrozumiała ją. Poznała każdy aspekt jej osobowości. Zdarła z niej skórę, a następnie ubrała się w nią. Na scenie królowała – wyniosła, zimna jak ostre skalpela, surowa. Przywodziła na myśl wilgoć wciskającą się do mieszkania w ciemną, listopadową noc. Jej sposób bycia kontrastował z bielą, którą przyszło jej nosić. Kontrast uwypuklił czern charakteru. Groteskowe połączenie. Kolor niewinności, czystości i prawdy stał się uniformem przemocowej despotki.

McMurphy wyróżnia się sympatią, jaką szybko obdarza go odbiorca. Zarówno w przypadku książki, jak i filmu. Czytelnik wyobraża sobie pocziwego wariata. Widz otrzymuje Jacka Nicholsona, któremu życzy jak najlepiej – pomimo jego szaleństwa. Dorota Abbe-Kuźmińska włożyła serce w realizację roli. Sęk w tym, że przekroczyła granicę, po której rubaszność i niedojrzałość stają się na wyrost. Postać, w którą przyszło jej się wcielić, jest iskrą rzuconą na beczkę prochu. Niemniej jej ruchy, sposób mówienia, wizerunek są naturalszczykowski. Wada? Nie śmiem powiedzieć słowa. Ostatecznie aktorka jest drobnym przestępcą zwinęty w ulicy, któremu cwaniactwo wystaje z kieszeni.

Wyczerpać zapas wrażeń wywołany zamknięciem na oddziale – to naprawdę niełatwe. Dominuje zachwyty. Szczególnie zasługi dla jego obecności ma styczność z monumentem scenografii. Jego smak burzy jednak pobrzmiwająca nuta goryczy. To, że antagonistka była jakaś, nie oznacza, że dało się ją lubić. Nie wykorzystany potencjał – oczywisty dla powieści i ekranizacji. Nie należy zapomnieć, że to jednak adaptacja. Wizja Kleczewskiej. Skoro tak, jej wyobraźnia nie próżnuje.

Jędrzej WRÓBLEWSKI
jedwro1@st.amu.edu.pl

Krwawa rywalizacja

Zapewne większość z nas choć raz słyszała o „Squid Game”, czyli jednym z najpopularniejszych seriali Netflix. Produkcja zyskała światową sławę przez nietypową fabułę dotyczącą niebezpiecznej gry o miliardy wonów. Dlatego twórcy zdecydowali się na stworzenie kontynuacji. Jednak czy nowy sezon „Squid Game 2” dorówna poprzednikowi?

Pod koniec grudnia odbyła się premiera nowych odcinków popularnego, południowokoreańskiego serialu. Po dużej dawce emocji w pierwszym sezonie widzowie nie mogli się doczekać tego, jak potoczą się dalsze losy głównego bohatera. Wymagania były wysokie, ponieważ pierwszy sezon zachwycił odbiorców swoją odmienną tematyką, intrygami oraz budowaniem napięcia. Zgodnie z przewidywaniami, nowe odcinki spodobały się fanom, dostarczając mieszanki emocji.

Nowa gra

W drugim sezonie główny bohater – Seong Gi-hun, kilka lat po zakończeniu gry i zdobyciu głównej nagrody, próbuje dotrzeć do organizatorów rozgrywki. Raz na zawsze chce on bowiem zakończyć krwawą rywalizację i uchronić nieświadomych graczy przed śmiercią. Jednak droga do sprawiedliwości nigdy nie jest usłana różami. Gdy jego pierwotny plan okazuje się porażką, postanawia ponownie wziąć udział w grze i od środka zniszczyć organizatorów niebezpiecznej rozgrywki.

Seong podejrzewa, że wszystkie gry będą takie same, jak w edycji, w której brał udział, a przez to będzie mógł pomóc innym graczom przeżyć. Rzeczywiście pierwsza z nich jest identyczna jak w poprzedniej rozgrywce, jednak następne już się różnią i dopiero wtedy zaczyna się prawdziwa gra.

Trzeba przyznać, że twórcy serialu postarali się, by stworzyć odmienną historię. Fabuła skupia się na nowych postaciach i ich losach. Można dowiedzieć się, dlaczego postanowili wziąć udział w grze i poznać ich życiorysy. Podobnie jak w pierwszym sezonie, akcja toczy się wokół kilku wybranych bohaterów, do których widz szybko się przywiązuje i z zapałem śledzi ich poczynania, po cichu im kibicując.

W nowej rozgrywce, po każdej rundzie, odbywa się głosowanie, w którym uczestnicy mogą podjąć decyzję, czy grać dalej i zarobić więcej pieniędzy, czy odejść z już uzbieraną kwotą. Po śmierci każdego uczestni-



Oficjalny materiał promocyjny

Lepiej być pierwszym, niż lepszym...

ka, do ogromnej świnki skarbonki, dodawana jest określona suma zwiększająca główną wygraną. Jeśli gracze postanowią zrezygnować, każdy z nich dostanie równą ilość gotówki i bezpieczeństwo w pakiecie. Jednakże z każdą kolejną grą, na myśl o większej wygranej i sporych długach każdego z uczestników, udział w dalszej rywalizacji ma dla nich sens. Nie chcą z niej tak łatwo zrezygnować, ponieważ z kolejnymi zgonami pula wonów się zwiększa.

Okrutna rzeczywistość

Z pewnością wielu ludzi jest zaskoczonych postawą bohaterów serialu i uznaje ich poczynania za niemoralne. Jednak trzeba przyznać, że w ten sposób ujawnia się prawdziwa natura człowieka. Dobrym przykładem jest scena, w której rekrutujący graczy daje wybór grupie ludzi bezdomnych: jedzenie lub zdrapka. Jakie są ich decyzje? Znaczna większość wybiera kupon, ukazując ludzką chciwość i złudną nadzieję na zostanie milionerami i odwrócenie swojego losu.

Odwaga i miłość

W ostatnim czasie polska kinematografia nie przestaje zachwycać widzów dziełami bardzo wysokiej jakości. Na pewno warto wspomnieć o takich znanych i udanych produkcjach, jak „Znachor”, „1670” albo „Absolutni debiutanci”. Wraz z premierą na Netflixie nowego serialu obyczajowego „Matki pingwinów” lista wartościowych, polskich dzieł się powiększyła.

Serial został wyreżyserowany przez Klarę Kochańską-Bajon i Jagodę Szele. Fabuła opowiada o codziennych zmaganiach rodziców dzieci z różnymi niepełnosprawnościami. Za inspirację dla tego projektu posłużyło osobiste doświadczenie pierwszej z reżyserek, która jest mamą atypowego syna.

Takie różne i podobne

Oglądając serial, możemy zobaczyć, jak zupełnie różne doświadczenia związane z wychowywaniem dzieci z niepełnosprawnościami krzyżują się z sobą. Tatiana Tracz ma syna Michała z dystrofią mięśniową. Wszystkie obowiązki dotyczące opieki nad nim spoczywają na jej barkach, ponieważ ze względu na trudną sytuację finansową jej mąż większość czasu spędza pracując w Niemczech. Jerzy Lejman jest samotnym ojcem, który wychowuje dziewczynkę Helę z ciężką, nieznaną chorobą psychiczną, pozostającą bez żadnego wsparcia ze strony własnej matki. Ula Wojtal to mama trojga dzieci – dwoje z nich ma zespół Downa. Kobieta jest influencerką, a na swoich profilach w mediach społecznościowych pokazuje, że życie z nietypowymi dziećmi również może być szczęśliwe i satysfakcjonujące. Mąż Uli jest odnoszącym sukcesy biznesmenem, rodzina całkiem dobrze radzi sobie finansowo, więc stara się pomagać innym potrzebującym. Z kolei Kamila Barska, zawodniczka MMA, dopiero zaczyna przechodzić przez trudny proces akceptacji diagnozy swojego syna Jasia ze spektrum autyzmu. Nie może odnaleźć się pośród rodziców będących z jej perspektywy galerią oryginałów. Początkowo kobieta uznaje, że nie ma z nimi nic wspólnego...



Oficjalny materiał promocyjny

Oficjalny plakat serialu

Historia każdego z bohaterów jest zupełnie inna, pełna wyjątkowych wyzwań, doświadczeń i radości, ale wszystkich łączy ten sam cel: zapewnienie swoim dzieciom pełnego, szczęśliwego życia, w którym będą mogły rozwijać swoje pasje i talenty, czuć się kochane i chronione. To właśnie miłość i determinacja sprawiają, że ich historie są tak inspirujące, a ich wysiłki tak ważne.

W serialu nie brakuje jednak innych wyzwań, które skutkują tym, że rodzice muszą odnaleźć w sobie siłę, by zaważyć o szczęście zarówno dzieci, jak i swoje własne. Każdy z nich staje przed zadaniami znanymi wielu osobom: wyborem między karierą a rodziną, rozwiązywaniem konfliktów z bliskimi, zrozumieniem własnych uczuć i pokonywaniem trudności w związkach. Te życiowe dylematy, przedstawione przez pryzmat rodzicielstwa, pozwalają widzom zobaczyć siebie w bohaterach, poczuć ich zmagania i emocje. To skojarzenia pomagają lepiej zrozumieć rodziców atypowych dzieci i inspirować do podjęcia prostego, ale ważnego kroku – zapewnienia im szczerzego wsparcia moralnego.

Można uznać, że znaczna część ludzi jest materialistami, za wszelką cenę pragnącymi się wzbogacić, dlatego biorą udział w śmiertelnej rozgrywce. Okazują tym brak szacunku do swojego życia, a nawet brak wiary, że mogą je stracić w zwykłej grze dla dzieci. Ponadto różnorodność postaci pod względem wieku, ich sytuacji życiowych i motywacji, z których powodu dołączyli do gry, pokazuje, że każdy człowiek mógłby znaleźć się na ich miejscu.

Niesamowite widowisko

Byłoby grzechem nie wspomnieć o świetnych występach aktorskich. Podobnie jak w pierwszym sezonie, aktorzy zaskakują grą, sprawiając, że historia przedstawiona w „Squid Game 2” wydaje się autentyczna. Postacie są dość realistyczne, z różnymi problemami i motywami, jedni ubodzy, drudzy rzekomo bogaci i popularni, choć i tak wszystkich łączy jedno – zadłużenia finansowe. Lee Jung-jae, grający głównego bohatera, zagrał również dobrze jak w pierwszym sezonie. Tym razem „zbawia świat”, nakłania do rezygnacji z gry i pomaga jej nieświadomym uczestnikom.

Warto też zwrócić uwagę na występ koreańskiego piosenkarza i rapera o pseudonimie T.O.P, który miał nie lada wyzwanie, gdyż musiał wcielić się w rolę szalonego gracza. Jego postać posuwa się do niecnych czynów, aby zwyciężyć. Jak na południowokoreańską produkcję przystało cała obsada bardzo dobrze poradziła sobie z odtworzeniem swoich postaci i z pewnością należą się im za to ogromne brawa.

Na uwagę zasługuje zbudowana w serialu atmosfera. Aura tajemniczości i stopniowo narastający niepokój powodują, że w pewnym momencie nie wiadomo, kto tak naprawdę jest dobry, a kto zły. Krwawe sceny przyprawiają o gęsią skórę, więc nie są to ujęcia dla wrażliwych osób. Z kolei rywalizacja sprawia, że widz wciąga się w historię, zapomina o bożym świecie i chce jak najszybciej dowiedzieć się, co będzie dalej, z niecierpliwością klikając przycisk: „następny odcinek”.

Niestety ostatni odcinek kończy się „cliffhangerem”, gdyż akcja tuż pod koniec znacznie przyspiesza i następuje cięcie pozostawiające widza w szoku i niedowierzaniu. Na początku w planach były tylko dwa sezony „Squid Game”, jednak reżyser Hwang Dong-hyuk postanowił skrócić drugi sezon i nakręcić trzeci. Na kontynuację nie trzeba będzie jednak długo czekać, ponieważ jego premiera zaplanowana jest na drugą połowę 2025 roku. Twórcy bez wątplenia zapewnią odbiorcom solidną rozgrywkę!

Laura PRZYBYŁ
lauprz4@st.amu.edu.pl

Inkluzywność polskiej szkoły

Serial porusza również ważną kwestię inkluzywności polskiego systemu edukacji dla dzieci ze specjalnymi potrzebami. Mocną stroną tutaj jest to, że wybrzmiało wiele różnych punktów widzenia. Okazuje się, że nie tylko dzieci i ich rodzice borykają się z trudnościami związanymi z edukacją, ale zmagają się z nimi również pracownicy szkół.

Inaczej wygląda doświadczenie matki, której dziecko wyrzucano ze szkoły, inaczej nauczycielki, która musi upilnować całą klasę i zapewnić dzieciom bezpieczeństwo, jeszcze inaczej dyrektora, który usiłuje pogodzić oczekiwania każdej ze stron. Serial dobrze oddaje, że polski system edukacyjny dla atypowych dzieci jest daleki od ideału i potrzebuje zmian ze strony zarówno państwa, jak i nauczycieli.

Nie można zadowolić wszystkich

Jak to zazwyczaj bywa, produkcja nie spotkała się z jednoznacznymi ocenami. Choć większość widzów zachwyciła się tematyką, grą aktorską i obsadą, dość spora część narzeka, że serial jest zbyt cukierkowy, że za mało w nim „prawdziwego” życia, i że na ekranie nie ma biedy, trudnych i dramatycznych przypadków.

W obliczu produkcji warto zwrócić uwagę na ludzi, których bezpośrednio dotyczy ten temat, na przykład członków fundacji „Jesteśmy ważni”, oferującej wsparcie dla rodziców dzieci z niepełnosprawnościami. W swojej recenzji produkcji piszą oni tak: „To nie ma być i nie jest film [sic!] dokumentalny. Nie sposób więc szukać w nim historii, w których odnajdujemy się w stu procentach. W każdym bohaterze, w każdej historii – każdy rodzic może znaleźć jakąś cząstkę siebie, na którymś z etapów, które przeszedł lub przechodzi”. To, że serial mówi o trudnych sprawach w lekki sposób, sprawia, że jest on dostępny także dla osób spoza bańki rodziców dzieci z niepełnosprawnościami i dla wszystkich widzów staje się łatwiejszy w odbiorze.

Serial „Matki pingwinów” zyskał uznanie nie tylko wśród oglądających, ale również ekspertów zajmujących się tematyką niepełnosprawności i rodzicielstwa. To dowodzi, że jego znaczenie wykracza poza rozrywkę. Jest to produkcja, która podejmuje istotne tematy społeczne w emocjonalny sposób.

Natalia BORODKINA
natbor21@st.amu.edu.pl

W labiryncie beznadziei

Brak możliwości awansu społecznego inną drogą niż przez małżeństwo, zerowe perspektywy zawodowe, niedostępność szkół i uczelni wyższych. Wszystko to spychało niemajątkne, samotne kobiety żyjące sto lat temu na marginesie społeczeństwa, by tam walczyły o przetrwanie. Nie było nawet mowy o żadnej sprawiedliwości. Pomoc socjalna nie istniała lub była przeciążona, a świat pomimo szybkiego, a wręcz gwałtownego rozwoju nadal kręcił się wokół mężczyzny.

To właśnie realia życia Karoline, głównej bohaterki filmu Magnusa von Horna „Dziewczyna z igłą”, który na polskich ekranach pojawił się 17 stycznia. W świecie dogorywającej wojny, ciągłej pracy i walki o przetrwanie osadzono historię porzuconej kobiety, smutnej przedstawicielki klasy robotniczej. Miejscem akcji są ulice Kopenhagi, ale podczas nagrań wykorzystano także kilka lokalizacji na Dolnym Śląsku i w Łodzi, gdzie von Horn rozpoczął swoją karierę reżyserską w Szkole Filmowej.

Brutalna rzeczywistość

Jesteśmy u schyłku Wielkiej Wojny w zniszczonej i zmęczonej konfliktem Europie. Miliony ofiar i rannych, setki tysięcy ludzi, którzy nigdy nie powrócą do swoich domów z frontu. Dania już na początku ogłosiła swoją neutralność, co jednak nie znaczyło, że skutki działań zbrojnych nie dotarły i tam. Karoline pracuje w fabryce tekstyliów, która zamiast zwyczajną produkcją zajmuje się szyciem mundurów. Nie wie, co się stało z jej mężem zaciągniętym do armii. Kobiecie nie przysługują nawet renta wdowa. Pasma nieszczęść rozpoczyna się od pozbawienia głównej bohaterki mieszkania. Jest zmuszona przenieść się na czyjeś poddasze. Szukając pocieszenia i zrozumienia, wdaje się w romans z właścicielem fabryki, który obiecuje jej wspaniałe życie. Zostaje porzucona przez kochanka i zwolniona z pracy. Dziecko pod sercem to dla niej dodatkowy problem. Widz może uznać Karoline za naiwną, bo przecież dała się nabrać bogatemu mężczyźnie, który tylko namieszał jej w głowie i obiecał niemożliwe rzeczy. Jakby tego było mało, pojawia się mąż kobiety, a właściwie to, co pozostawił po nim front. Czy to nie dość powodów do kryzysu psychicznego?

Karoline zostaje postawiona przed decyzją. Może urodzić dziecko i spróbować wychować je na nieogrzewanym poddaszu z namiastką mężczyzny, który nawet we śnie widzi śmierć, głodując i bie-



Plakat promujący premierę filmu

gając ciągle za jakimkolwiek zarobkiem. Może też zrobić coś, co pozwoli jej postarać się o lepszą pracę i wyeliminuje jeszcze jedną gębę do wykarmienia. Coś bardzo mrocznego i zakazanego, co jednak wydaje się jedyną opcją w tej tragicznej sytuacji. Zanim Karoline zrealizuje swój plan, na jej drodze pojawia się inna kobieta – Dagmar – oferująca dość racjonalne rozwiązanie. Za niewielką kwotę znajdzie dziecku nowy dom, kochających i bogatych rodziców, którzy z chęcią zadbają o jego dobro. Nie mogąc spłacić długu, Karoline zatrudnia się jako mamka i nawiązuje nić przyjaźni z Dagmar. W końcu, po tylu trudach i dość brutalnych wydarzeniach, wydaje się, że możemy odetchnąć i uwierzyć, że historia głównej bohaterki nareszcie nabierze bardziej pozytywnego charakteru.

To, na co inne nie mają odwagi

Dagmar Overbye była jedną z trzech kobiet skazanych na śmierć w XX wieku w Danii. Jej wyrok, zamieniony później na dożywotnie

więzienie, był efektem udowodnienia dziewięciu morderstw na noworodkach pochodzących z nieprawego łoża. Oddając je matkom obiecywała dobrą i stabilną przyszłość w domach prawników, lekarzy i innych przedstawicieli klasy wyższej. W rzeczywistości dzieci kończyły w rzece, uduszone poduszką lub w jej własnym kominku. Ta kobieta to pierwowzór filmowej Dagmar, która na piętrze swojego sklepu z cukierkami uprawiała drugi, bardziej dochodowy biznes. Sprawa była na tyle kontrowersyjna, że zapoczątkowała w Danii poważne reformy społeczne. Wprowadzono rejestr urodzeń, nadzór nad dziećmi adoptowanymi oraz tymi pochodzącymi spoza małżeństw.

Karoline w końcu odkrywa brutalną prawdę na temat swojej chlebobdawczynie. Dowiaduje się, że jej córka została pozbawiona przyszłości przez kobietę, pod której dachem mieszka. Dagmar dosięga ręką sprawiedliwości, ale czy jest to wystarczające pocieszenie dla wyniszczonej Karoline? Czy „normalne życie” jest możliwe po tak bolesnej stracie? Wielu mogłoby twierdzić, że jedyną drogą dla głównej bohaterki będzie dożywocie w szpitalu psychiatrycznym. Karoline jednak po raz kolejny udowadnia, że kobieta dużo zniesie i nieraz podniesie się z kolan.

Granica moralności

Ta produkcja pozostaje w pamięci na długo. Brutalne i bardzo rzeczywiste sceny wprawiają widza w szok i obrzydzenie, ale też wzbudzają w nim ogromne współczucie dla szarganej przez los bohaterki. Słowa Dagmar na sali sądowej w obecności zrozpaczonych, wściekłych matek, która w końcu łamie się i krzyczy, że jako jedyna miała odwagę zrobić to, czego inne nie mogły, wywołują u oglądającego sprzeczne emocje. Nie ma wątpliwości, że czyny tej kobiety są złe i niewybaczalne. Co jednak stałoby się z dziećmi, gdyby nie trafiły pod jej „opiekę”? Czy przyszloby im umrzeć z głodu, w brudzie i zimnie? A może zostałyby porzucone przez zdesperowane matki? Nawet jeśli trafiłyby do sierocińca, prawdopodobieństwo, że zostaną adoptowane i dożyją dorosłego wieku byłoby znikome. Jeśli zostaną w placówce wystarczająco długo, czeka je taki sam los, jak rodziców.

Film nie tylko szokuje, ale też zachwyca. Praca kamery i rezygnacja z kolorów nadają mu wyjątkowego charakteru i dodatkowo podkreślają efekt, który chciał uzyskać reżyser. Jest to mroczna i brutalnie prawdziwa produkcja o ludziach zepchniętych na skraj przez obojętność społeczeństwa. Nazywana feministyczną i odważną budzi kontrowersje, a także refleksje, czy i jak wiele udało nam się poprawić na gruncie bezpieczeństwa, sprawiedliwego traktowania i udziału kobiet w życiu społecznym. Warto dać jej szansę i, nawet przez zmrużone oczy, poznać realia funkcjonowania kobiet na początku XX wieku.

Amelia OGRODOWCZYK
ameogr@st.amu.edu.pl

Zabójcze opowieści

Zbrodnie fascynują ludzi od tysięcy lat. Przyciągają jak magnes, odkrywając przed odbiorcą najciemniejsze zakamarki duszy. W takich opowieściach kryje się więcej niż zwykły dreszczyk emocji. To echo pragnienia, które każe człowiekowi wytłumaczyć to, co niewytłumaczalne, nieludzkie i tak bardzo nierealne. Dlaczego fascynuje nas mrok? Co sprawia, że chcemy go zrozumieć? True crime, choć osadzone w tragicznej rzeczywistości, zdobyły serca milionów i stały się fenomenem kulturowym.

Opowieści o zbrodniach wtargnęły na rynek z zadziwiającym zasięgiem. Zdobywają coraz większą rzeszę fanów, stając się częścią życia wielu tysięcy – jak nie milionów – ludzi. Platformy streamingowe prześcigają się w tworzeniu dokumentów, seriali i filmów o mordercach. Podcasty o tej tematyce zajmują czołowe miejsca w rankingach. Serial „Dahmer – Potwór: Historia Jeffreya Dahmera” zaczął bić rekordy popularności już w pierwszym tygodniu po premierze. Wiele dokumentów nie jest jedynie pustą rozrywką dla mas – coraz częściej spotykają się z uznaniem, a ich twórcy otrzymują nagrody. Podcasty, takie jak polskie „Kryminatorium” czy amerykańskie „Rotten Mango”, zbierają miliony wyświetleń, a fani czekają z niecierpliwością na kolejne odcinki. Powoduje to wiele pytań, nie tylko o same przestępstwa, lecz o moralność twórców i odbiorców, których to fascynuje.

Miłość do zbrodni

Zakorzeniona w ludzkiej naturze fascynacja tym, co niebezpieczne, istniała od zawsze. Można by pomyśleć, że jest to poszukiwanie sprawiedliwości. Już w starożytności powstawały tragedie, w których bohater otrzymywał karę za swoje czyny. Spo-



W labiryncie psychologii zbrodni

zienie to, może i poprawne, jest płytkie. Ludzie z natury są ciekawi, łakną sensacji, a true crime ma coś, czego nie mają książki czy seriale kryminalne – wydarzenia oparte na faktach. Prawdziwe historie, tak dalekie i nieludzkie, dają coś, czego nie da zwykły film. Dreszcz emocji, porównywalny do tego w horrorach, jednak bardziej realny i bliższy sercu. Pozwalają przeżywać głębokie uczucia – od lęku, przez złość, często kończąc na frustracji lub uldze. Dla wielu odbiorców jest to atrakcyjny, bo bezpieczny. – Kiedy słucham podcastu kryminalnego, często czuję przerażenie. Nie jest to jednak zły strach, a bardziej ten jego rodzaj, który można poczuć przy horrorach – przyznaje Maria, studentka prawa.

Poszukiwanie zrozumienia i ciekawość są nieodłączną częścią natury człowieka. – Słuchanie podcastów kryminalnych w domu jest bezpieczne, ponieważ pozwala mi analizować i rozumieć mechanizmy zbrodni z dystansu, bez narażania się na realne zagrożenie. Dzięki temu mogę poszerzać swoją wiedzę i świadomość, jednocześnie pozostając w kontrolowanym i bezpiecznym środowisku – zdradza Paweł, student psychologii. Próby szukania wyjaśnień i odpowiedź na pytanie „dlaczego?” są intrygujące

dla słuchaczy. Nieludzkość, jaka spotyka ofiary, przeraża i każe pytać, czy ktokolwiek jest bezpieczny?

Na granicy etyczności

Jak daleko może posunąć się człowiek, aby zdobyć wyświetlenia? Słuchacze często nie zdają sobie sprawy z bólu, jaki to za sobą niesie. Za tymi historiami kryją się bowiem prawdziwi ludzie i ich największe tragedie. Powoduje to etyczny zgrzyt w twórcach, którzy muszą balansować na granicy narracji i uczuć bliskich ofiar. – Tworzenie podcastów kryminalnych jest zgodne z prawem, pod warunkiem, że przestrzegane są prawa do prywatności, nie dochodzi do pomówień, a treści nie utrudniają śledztw ani nie naruszają tajemnicy postępowania. Ważne jest również, by narracja była odpowiedzialna i nie prowadziła do gloryfikacji sprawców – tłumaczy Maria.

Zagadnienie etyczności podcastów kryminalnych budzi wiele kontrowersji, szczególnie w kontekście ich wpływu na odbiorców oraz sposobu przedstawiania ofiar i sprawców. Zasadnicze pytanie brzmi, czy takie produkcje mogą być zgodne z zasadami etyki? – Podcasty kryminalne mogą być etyczne, jeśli tworzone są z szacunkiem dla ofiar i ich bliskich, bez uprzedmiotowienia tragedii czy sensacyjności. Kluczowe jest rzetelne przedstawianie faktów, unikanie stereotypów i świadomość wpływu na słuchaczy, by nie normalizować przemocy ani nie przyczyniać się do wtórnej wiktymizacji – wyjaśnia Paweł.

Podcasty true crime to zjawisko, które jednych fascynuje, a u innych budzi niepokój. Niezależnie od podejścia warto pamiętać, że za każdą opowiadaną historią kryje się prawdziwa tragedia. Dlatego zarówno twórcy, jak i słuchacze powinni podchodzić do tych treści z rozwagą – twórcy, dbając o etyczność i rzetelność narracji, a odbiorcy, zachowując krytyczne spojrzenie i pamiętając, że rzeczywistość to coś więcej niż intrygująca fabuła. W świecie, gdzie granica między informacją a rozrywką bywa cienka, odpowiedzialność leży po obu stronach.

Natalia KRÓL
natkro11@st.amu.edu.pl

Mit kiczu czy kicz mityzowany?

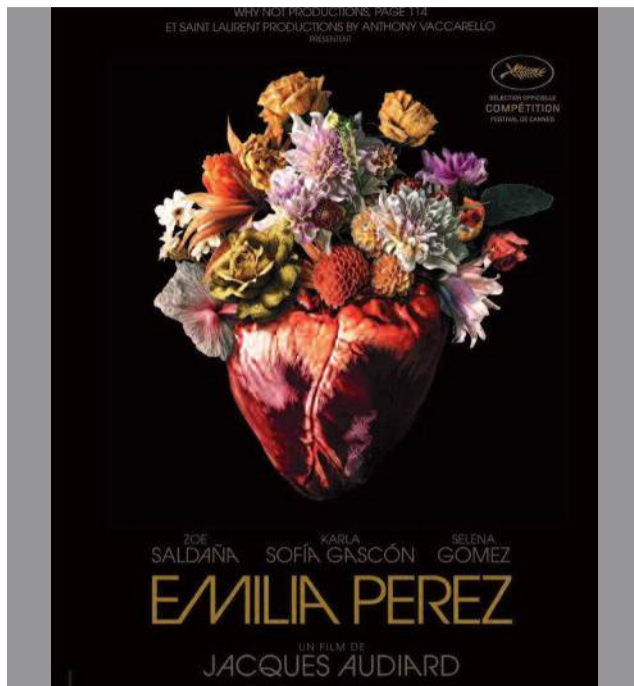
Kawa, laptop i adwokacka przemowa. Zgiełk meksykańskiego targowiska, który wprowadza widza w wartki nurt złożonej fabuły, składającej się z ciągłych uduziwnień. Białe i czarne charaktery stojące się realistycznie szare pomimo nierzeczywistych zwrotów akcji. „Emilia Perez” – bo o niej mowa – wskoczyła przebojowo na kinowe ekrany na przełomie 2024 i 2025 roku, zachęcając widzów do refleksji: czy to baśń na miarę naszych czasów, czy (nie)musicalowa porażka?

Początek gorąco dyskutowanej produkcji wzrusza politycznym komentarzem w kampowo-musicalowej osnowie i nie zwiastuje tego, co przyniesie dalszy ciąg akcji. Unaocznia polityczność aktów przemocy i niesprawiedliwość wyroków w poruszającym utworze, śpiewanym przez kobietę przygotowującą przemowę na nadchodzącą rozprawę. Rita (Zoe Saldana), jedna z trzech głównych bohaterek, jest bowiem niezależną i niezawodną prawniczką, której zasługi również poprzedza negacja – nie należą one do niej, tylko do uprzywilejowanego mężczyzny, który wygłasza jej przemowę, aby wygrać wolność winnego, równie uprzywilejowanego mężczyzny. Gorzko, prawda?

Obraz thriller kryminalnego podkręca tajemniczy telefon do adwokatki, zwiastujący szansę na zarobek. Nadawcą niepokojącego komunikatu okazuje się... najgroźniejszy baron narkotykowego regionu. Czego chce od bohaterki i jak sceny mrocznego, jak gdyby wyjętego z „Sicario” Villeneuve’a spotkania mogą przeistoczyć się w baśniowy obraz zachęcający do wsłuchiwania się w głos własnego serca?

Opera na sterydach?

Jacques Audiard, francuski reżyser znany z produkcji „Bracia Sisters” czy „Paryż, 13. dzielnica”, podjął się nie lada wyzwania: stworzenia operowego libretta na podstawie powieści „Écoute” Borisa Razona z 2018 roku, a następnie filmu opartego na tekście dla widowiska teatralnego. Jest to szczególnie wysiłek – spektakle z zakresu tego gatunku są zwykle same w sobie kilkugodzinnymi dziełami, osadzonymi w ograniczonej przestrzeni scenicznej. A film, który jest owocem owego starania, wydaje się być przeciwieństwem kwintesencji operowości – dzieje się w kilku krajach, wykorzystuje chwyt kina sensacyjnego i igra z żywiołem musicalo-



Pierwszy plakat filmu zachwyca rozkwitem. Jakie myśli kwitną jednak w głowach jego widzów?

wym. Połączenie wydaje się szalone i wielu odbiorcom nie odpowiada tak szeroka rama gatunkowa w jednym dziele. W szczególności, że rdzeniem fabularnym, wplecionym w konwencję kryminalną i komediową, jest problematyka korekty płci i odkrywania siebie na nowo. Mówi o trudach (nie)przepracowywania swoich traum i próbach okiełznania własnych demonów.

Sprawą, którą baron meksykańskiej potęgi narkotykowej powierzył Ricie, jest bowiem chęć rozpoczęcia wszystkiego na nowo jako kobieta. Manitas (Karla Sofia Gascón) wie, że od zawsze czuł się okropnie w swoim ciele – nie chciał go. Czyżby to spowodowało go na manowce nałogu i życia w ciągłej ucieczce od siebie? Melodie jego wyznania mogą prowadzić ku takiej konkluzji – a akcję prowadzą ku wielkiej przemianie.

Queerowa mitologia?

Korekta płci zaprezentowana w produkcji oceniana jest dycho-

trans – aktorka grająca główną bohaterkę zalicza się do tej grupy i robi to z niebanalną gracją oraz uczuciem. Przedstawiciele społeczności LGBTQ+ słusznie zauważają jednak groteskowe zaprezentowanie poszukiwań „najlepszego” chirurga do wykonywania operacji i bardzo specyficzną prowadzoną narracją w tym zakresie.

Myślą stanowiącą kontrę wobec krytyki jest przekonanie, że cudowność, dziwaczność i nierzeczywistość zdarzeń oraz bohaterów jest celowym zabiegiem, dążącym do stworzenia swoistego mitu dla mniejszości. Emilia staje się przecież silną, niezależną kobietą – odnajduje szczytny cel, któremu się poświęca i zmienia swoje życie na lepsze. Tworzy fundację, aby naprawić swoje przewinienia. Reprezentuje cechy godne heroski. Ba, w drodze, którą przebywa Perez, można nawet zauważyć pewne analogie do campbellowskiej podróży. Nie chcąc słuchać siebie, zostaje kimś dalekim od swojego prawdziwego „ja”, zaś wsłuchując się w siebie, uzyskuje pomoc od Rity, umiera i odradza się, odnosi sukces i przy pomocy prawniczki powraca do swego Meksyku. Realizuje mityczny cykl, przez co – w moim przekonaniu – nie sposób nie myśleć o jej historii jako micie w baśniowej konwencji skrojonym na potrzeby XXI wieku.

Kondycja tradycji

Konstrukcja spektaklu operowego oraz jego komponenty i chwyt gatunkowe inspirowane są utęsknieniem do teatru antycznego – stąd pojawiają się wojny, zdrady, wielkie miłości, afekty, mordy i samobójstwa, które wstrząsają widzom. Realizują zatem program teatralny zawarty w „Poetyce” Arystotelesa.

Wątki operowe pojawiają się w kinie, jednak sprzężone są dość ściśle z dziedzictwem kultury europejskiej. Odmienne wydają się zabiegi stosowane przez twórców teatralnych Ameryki, wyodrębniając Meksykanów. Osoby z tej grupy etnicznej wyrażają się krytycznie wobec reprezentacji swojej rzeczywistości, kultury i problemów politycznych, które nie przynależą do europejskiej tradycji. Szukanie uniwersalnych przesłań w podmiotowej, konkretnej narracji może być okazją, aby jednoczyć, jak i decydująco odrzucać.

„Emilia Perez” to dzieło wyjątkowe, niebanalne i niebagatelne. Zdecydowanie warto sprawdzić, czy pokocha się jego granie z tradycjami i konwencjami, czy też zniechęci się do kampowej wrażliwości oraz specyficznego przedstawiania politycznych i społecznych tematów. Emilia akceptowała posiadanie zarówno licznych przyjaciół, jak i wrogów – najważniejsze było dla niej, że spełnia się jako osoba, którą czuje, że jest. I to wyraziste przesłanie jest najważniejszą, niepodważalną wartością tego festiwalowego hitu.

Karolina KORKOSZ
kargol7@st.amu.edu.pl

Magia na scenie

Nowojorski Broadway w sercu Manhattanu to kulturalne centrum amerykańskiego i światowego teatru musicalowego. Miejsce, gdzie odbywają się spektakle takie jak „Hamilton”, „Moulin Rouge!”, czy „Chicago”. Przepych, plejada teatralnych gwiazd, scenografia nie z tego świata i wielkie przeboje znane fanom musicalu na całym świecie to kwintesencja energii tego miejsca. Ale czy musimy wybrać się aż za ocean, aby skosztować tej magii?

Historia teatru na nowojorskiej ulicy Broadway sięga XIX wieku, kiedy to stanęły na niej pierwsze sceny. Ulica położona niedaleko Times Square i pierwszej powstałej linii nowojorskiego metra oraz cały Theatre District stały się z czasem kulturalnym ośrodkiem miasta, wypełnionym po brzegi teatrami i siedzibami instytucji artystycznych. To właśnie na deskach Broadwayu powstał pierwszy w historii musical, „The Black Crook”, który zapoczątkował złotą erę. Współpraca z Disneyem zaowocowała legendarnym spektaklem „Król Lew”, który wciąż grany jest na deskach Broadwayu. Dziś liczy on czterdzieści jeden teatrów, a w jego repertuarze znajduje się kilkadziesiąt spektakli granych nawet po kilkanaście tysięcy razy, jak na przykład rekordowy „Upiór w Operze”.

Za kulisami

Aby spektakl mógł zostać oficjalnie wystawiony na deskach Broadwayu, musi przejść wieloetapową weryfikację przez producenta, a także krytyków i recenzentów. Niezliczone modyfikacje, próbne występy i ciągle doskonalenie służą doprowadzeniu widowiska do perfekcji. Budżet do wyprodukowania takiego spektaklu sięga nawet trzydziestu milionów dolarów, ale w przypadku sukcesu przedstawienia – zwraca się wielokrotnie.



Spektakl „Piękna i Bestia”

Sekret broadwayowskich spektakli tkwi w niesamowicie dopracowanych szczegółach. Widz oglądający show zostaje przeniesiony do zupełnie innego wymiaru, a to wszystko między innymi za sprawą bogatej scenografii wyposażonej we wszelkiego rodzaju liny, zapadnie i skrytki. To one wprawiają scenę w ruch i niekiedy unoszą aktorów w powietrze.

Fenomen spektakli na Broadwayu mieści się nie tylko w zakulisowych sekretach, ale także we wszystkim, co widz dostaje na tacy. Makijaże, kostiumy i mnogość aktorów na scenie nadają sztukom niepowtarzalnej dynamiki. Większość przedstawień to musicale, dlatego ogromne wrażenie robią wokalne wstawki wraz z towarzyszącymi im choreografiami. Taki spektakl to kompletne, wielowymiarowe widowisko, nad którym czuwa liczne grono odpowiedzialnych za niego ludzi. Za przykład może posłużyć jeden z hitów Broadwayu, „Alladyn”, który jest adaptacją baśni z „Księgi tysiąca i jednej nocy”, znany również z disneyowskiej ekranizacji. Ma postać barwnej, egzotycznej opowieści, która przenosi widza zarówno w miejscu, jak i w czasie, przekraczając wszelkie granice wyobraźni i redefiniując pojęcie teatru na nowo.

Poznański Broadway

Na brytyjskim West Endzie, czyli europejskim odpowiedniku nowojorskiego centrum teatralnego, spektakle zza oceanu przenoszone są w niemal identycznej formule, z zachowaniem oryginalnej scenografii, kostiumów i wizji reżyserskiej. Inaczej wygląda to w Polsce. Każdy musical z Broadwayu wystawiony przez polskie teatry ma zachowane wyłącznie oryginalne piosenki, oczywiście w polskiej wersji językowej. Reszta elementów spektaklu opracowana jest przez polskich artystów i reżyserów.

W poznańskim Teatrze Muzycznym zobaczyć można spektakl „Piękna i Bestia” w reżyserii Jerzego Jana Połońskiego, który zachwyca na każdym kroku. Nie zabrakło w nim typowej dla musicalu magii, ale przywołuje on również wspomnienia adaptacji Disneya. Scenografia oraz kostiumy wyglądają jak prosto z baśni, a elementy musicalowe – wokali i choreografia – dorównują nowojorskiemu poziomowi. W spektaklu uwzględniono również wykorzystanie animacji multimedialnych i efektów pirotechnicznych.

Na deskach Teatru Muzycznego w Poznaniu ożyło dawne marzenie o bajkowej, barwnej oprawie jednej z piękniejszych historii miłosnych zasłyszanych w dzieciństwie. Sam element musicalu niesie ze sobą ogromne znaczenie sentymentalne dla wielu widzów, którzy pragną usłyszeć dobrze znane utwory i po raz kolejny przeżyć muzyczne katharsis w pięknej opowieści. Nowojorski Broadway jest wspaniałym doświadczeniem, jednak ten poznański również pięknie pozwala zacerpnąć teatralnej magii na scenie.

Broadway jest w dużej mierze nastawiony na zysk, jednak w najmniejszym stopniu nie odejmuje mu to rozmachu i wspaniałości. Spektakle są magiczne, a sama atmosfera takiej liczby teatrów skupionych w sercu Nowego Jorku sprawia, że człowiek czuje się całkowicie otoczony sztuką. Doświadczenie bycia widzem takiego spektaklu zapewne na zawsze pozostaje w pamięci.

Jagoda KASPRZYK
jagkas2@st.amu.edu.pl

„Infinity Nikki” to darmowa gra RPG łącząca gatunki gacha i dress-up (tzw. ubieranka) stworzona przez chińskie studio Papergames we współpracy z singapurskim Infold Games. Jej premiera odbyła się 5 grudnia i była jednym z najbardziej wyczekiwanych wydarzeń w branży. Czy warto było czekać?

Już od roku użytkownicy (głównie kobiety) aktywnie tworzyli treści związane z grą, podgrzewając zainteresowanie. Taki entuzjazm nie był przypadkowy. W 2024 roku Infold Games udowodniło swój potencjał, gdy ich gra „Love and Deep Space” wyprzedziła w globalnych i chińskich rankingach dochodów miesięcznych takie giganty jak „Genshin Impact” i „Honkai: Star Rail”. Teraz „Infinity Nikki” mierzy nie tylko w przyciągnięcie uwagi graczy, ale także w stworzenie precedensu: pierwszej gry wysokobudżetowej, która łączy gatunek tzw. ubieranek z otwartym światem, jak w innych grach RPG. Jakie pierwsze wrażenia pozostawia nowa propozycja? I co stoi za niesamowitymi wynikami Infold Games w 2024 roku?

Odkrywanie Miralandu

Gracz wciela się w postać dziewczynki o imieniu Nikki, która poszukując sukni na bal maturalny na swoim strychu, odnajduje magiczny outfit. Na jej oczach suknia ożywa i tańcząc, przenosi ją oraz jej mówiącego kota Momo do nieznanego, magicznego świata. Tam, w zrujnowanym zamku, Nikki spotyka umierającą boginię Ene, która obdarza ją „sercem wieczności”, aby mogła odtwarzać magiczne stroje i ocalić Miraland przed złem. W świecie tym szczególną rolę odgrywają styliści tworzący modne stylizacje, które dają magiczne zdolności, i ci formujący gildie. Stylistką postanawia zostać także główna bohaterka.

Główne elementy gry to podobnie jak w innych tego typu tytułach eksploracja świata, przechodzenie głównej linii fabularnej i zadań pobocznych, rozwijanie umiejętności bohaterki oraz zbieranie materiałów do tworzenia nowych, modnych kreacji. W wielu z tych elementów „Infinity Nikki” może pozytywnie zaskoczyć. Mimo początkowo absurdalnego wrażenia, jakie sprawiają stroje dające magiczne zdolności, fabuła o „pragnieniach” wprowadzających ludzi w śpiączkę szybko przyciąga uwagę. Jest lekka w odbiorze, bohaterowie budzą sympatię, a dialogi potrafią zaskoczyć zabawnymi momentami.

Świat wydaje się równie ogromny i żywy, jak w innych produkcjach gatunku RPG. Miasta tętnią życiem – mieszkańcy rozmawiają ze sobą, zajmują się różnymi sprawami i oferują dodatkowe zadania, które pozwalają graczowi lepiej poznać lokalną kulturę. Twórca gry, Kentaro Tominaga, opisuje ją jako „nieskończone dobieranie strojów z nieskończonymi możliwościami”, które starał się uczynić angażującym. Wiele materiałów ma unikalne mechaniki: jedne kwiaty rozkwitają rano, a inne nocą; aby złapać motyle, trzeba wziąć siatkę i skakać po krzakach, a do zdobycia futra konieczne jest pogłaskanie biegnącego po ulicy szczeniaka. Wszystkie te elementy łączą się ze sobą tworząc angażujące doświadczenie.

Zamknięci w czterech ścianach, zegar tyka, a każda sekunda przybliża do porażki lub... wolności. W rzeczywistości, gdzie codzienność staje się przewidywalna, escape roomy oferują chwilową ucieczkę od rutyny. Uwięzieni w pokoju pełnym zagadek i tajemnic uczestnicy muszą połączyć siły, by znaleźć wyjście – ale czy zawsze jest to takie proste? W tej grze nie ma miejsca na błędy, a sukces zależy od każdej decyzji. Wchodzisz? Tylko pamiętaj, wyjście nie jest gwarantowane.

Escape roomy to rozrywka, która łączy w sobie elementy logicznych zagadek, emocjonującej adrenaliny i współpracy. Choć zasada gry jest prosta, to bogactwo tematów, poziomów trudności i atmosfera sprawia, że uczestnictwo staje się niezapomnianym doświadczeniem. W Poznaniu nie brakuje miejsc oferujących tę formę zabawy, a jednym z najbardziej cenionych – według opinii Google – jest LockMe. Zlokalizowane w tym miejscu 56 pokoi o różnorodnej tematyce – od przygodowych po thriller – zaspokoi zapewne oczekiwania każdego. Dzięki intuicyjnym filtrom na stronie internetowej, łatwo można dopasować idealny pokój do swoich preferencji. Popularne pokoje przeznaczone są dla 2 do 5 osób, choć niektóre mogą pomieścić aż osiem osób. Ceny różnią się w zależności od trudności pokoju, czasu trwania i terminu rezerwacji, zaczynając od 120 zł za zespół, aż do 400 zł. Dla tych, którzy szukają bardziej

Magia mody i RPG



Połączenie RPG i ubieranek w Infinity Nikki

Przełom w rozgrywce gacha

Gra z pewnością wyróżnia się pod względem stylizacji i piękna krajobrazów. Twórcy poświęcili wiele uwagi funkcji wewnętrznej fotografii, co zachęca graczy do robienia zdjęć swoich stylowych kreacji na tle magicznych lokacji przypominających styl rysunkowy studia Ghibli. Pomysł na taką aktualizację zaczerpnęli od fanów wcześniejszych gier z serii o Nikki, którzy chętnie dzielili się zrzutami ekranów swoich ulubionych modowych kombinacji. Twórcy nie tylko przenieśli tę możliwość, ale również ją udoskonali.

Mimo prawie całkowitego braku przemocy w rozgrywce (z ludźmi Nikki walczy w „pojedynkach stylu”, a w świecie spotyka się jedynie złe istoty, które „oczyszczają”, ale ich nie zabija), gra nie pozwala się nudzić. Skupia się na innych aspektach – modzie, eksploracji świata i łamigłówkach. Jednak takie podejście jest ryzykowne, gdyż wyklucza dużą część potencjalnej grupy odbiorców preferujących gry akcji.

Mówiąc o potencjalnych wadach, należy wspomnieć o przeładowanym menu rozwijania umiejętności, zdobywania waluty i licznych osiągnięć. Po dołączeniu do gildii stylistów Dada daje bohaterce tablet o nazwie Pear-pal, w którym gracz znajdzie ogromną liczbę funkcji: garderobę, treningi, kursy rozwijające umiejętności, kolekcje strojów, szkice, osobne menu ulepszania elementów garderoby – każda zakładka ma unikalny, starannie zaprojektowany wygląd. Wszystko to wygląda świetnie, ale przy pierwszym kontakcie przytłacza. Można łatwo się zgubić, patrząc na 12 ikon, za którymi kryją się kolejne listy

pełne dodatkowych funkcji. Jest to coś, co z pewnością będzie niezwykle trudne do pokonania, nie tylko dla początkujących graczy, dla których „Infinity Nikki” będzie pierwszym spotkaniem z tym światem, ale także dla fanów wcześniejszych gier z Nikki. Dodatkową trudność w odbiorze stanowi brak polskiego języka w interfejsie, ale miejmy nadzieję, że jest to tylko tymczasowy problem i wkrótce grą będą mogli cieszyć się także gracze bez certyfikatu językowego B2 z angielskiego.

Reprezentacja kobiet

Bezkompromisowe skierowanie gry do kobiecej publiczności widać w każdym jej elemencie – od koncentracji na modzie (stereotypowo kobiecej dziedzinie), przez brak przemocy, po wygląd gry i charakterystykę postaci. To wyróżnia „Infinity Nikki” i produkcje Infold Games na tle innych projektów. Podczas gdy wielu innych producentów wciąż nie docenia lub wręcz ignoruje kobiecą publiczność, Infold Games odważnie deklaruje: „Tak, skupiamy się na kobietach i zamierzamy na tym zarabiać”. I to im się udaje!

„Infinity Nikki” symbolizuje nowy nurt nie tylko w grafice i rozgrywce, ale również kwestionuje utarte przekonania o gatunku gacha. Miejmy nadzieję, że gry Infold Games przypomną swoim rywalom, że mimo dominującej obecności męskiej publiczności w branży, kobiety wciąż zasługują na inwestycje i wciąż mogą zaskoczyć swoim wsparciem oraz zaangażowaniem.

Yelizaveta RAVETSKAYA
yelray@st.amu.edu.pl

Nie ma wyjścia, jest zabawa

przystępnej oferty, warto odwiedzić KeyToBeFree, gdzie cena za pokój wynosi stałe 200 zł, niezależnie od liczby osób.

Czym byłby escape room bez uczestników? To oni w pocie czoła stają przed wyzwaniem rozwiązania najbardziej zawiłych zagadek i mierzą się z przeciwnościami, które stawia przed nimi gra. Ich umiejętności stają się kluczowe, bo każda sekunda ma znaczenie.

– Escape room to świetne miejsce na spędzenie wolnego czasu, w którym nie tylko można się dobrze bawić, ale również poćwiczyć swoje umiejętności działania pod presją czasu. Uważam, że jest to doskonale miejsce do wybrania się ze znajomymi, partnerem lub rodziną, aby miło spędzić czas i zyskać wyjątkowe wspomnienia – mówi Natalia, fanka escape roomów. – To świetny sposób na oderwanie się od codzienności. Trzeba dużo myśleć, kombinować i współpracować – dodaje Michał, narzeczony Natalii. – Escape roomy to doskonały pomysł na integrację wśród przyjaciół, pracowników czy rodziny. Zawierają w sobie elementy zagadki i pracy zespołowej. Nie obejdziesz się też bez wielu śmiesznych momentów – opowiada Zosia, która niedawno spróbowała tego sposobu na spędzanie czasu ze znajomymi.

Jednorazowa przygoda?

Jak widać gracze chwalą ten sposób spędzania czasu. Pozostaje pytanie czy lubią wracać, czy jest to dla nich tylko jedno-

razowa atrakcja? – Uwielbiam chodzić do escape roomów, więc bywam tam przynajmniej raz na dwa, trzy miesiące. Każdy pokój wygląda zupełnie inaczej i ma inny temat przewodni, więc każde wyjście do escape roomu kończy się nowymi przygodami – mówi Natalia. Wtóruje jej partner: – Do escape roomów chodzę sporadycznie, zazwyczaj raz na dwa, trzy miesiące. To fajna zabawa i dobra okazja do spędzenia czasu z bliską osobą lub przyjaciółmi.

– W escape roomie byłam do tej pory dwa razy, wcześniej nie myślałam, że to takie fajne. Ale tak mi się spodobało, że na pewno będę wracać – stwierdza Zosia. Są osoby, które nie miały jeszcze okazji korzystać z tego typu atrakcji. – Bardzo chciałabym pójść. Uważam, że może to być fantastyczna przygoda. Dzięki temu można poznać znajomych z innej strony, pokazując słabe i mocne strony. Gra zmusza również do współpracy, co bardzo zbliża. Myślę, że można wtedy poczuć ekscytację, ale także lekki stres, bo to jednak walka z czasem, ale uważam, że super bym się bawiła, rozwiązując tego typu zagadki – opowiada Wiktoria, studentka dziennikarstwa. Każde wyjście staje się więc nową przygodą.

Emocje czy logika górą?

Co człowiek, to inna historia. Każdy inaczej podchodzi do wyzwania, które są przed nim stawiane. – Na pewno czuć presję, bo czas tam płynie bardzo szybko. Jednak gdy jest coś, przy

„Gdybyś poznał wspaniałość liczb: trzy, sześć i dziewięć, to masz klucz do wszechświata” – mówił Nikola Tesla, który o wszechświecie wiedział dużo, ponieważ badał go przez większość swojego życia. Jego teza może wydawać się niedorzeczna – trudno wszak wskazać rozwiązanie odwiecznej łamigłówki na podstawie trzech niepozornych cyfr. Naukowiec rozwijał swoją obsesję na punkcie kategorii liczb do tego stopnia, że codzienne obowiązki wykonywał kilka razy, tak aby otrzymać sumę liczby trzy lub jej wielokrotność. Niektóre nawyki eskalują – tylko dlaczego? Robimy coś coraz częściej i częściej, prowadząc do progresywnej trajektorii. Potem, zupełnie niewinnie, wpadamy w spiralę, która pogrąża nas coraz bardziej.

Rutyna i zwyczaj to niedostrzegalne fundamenty, stanowiące integralną część ludzkiego życia, na których budujemy codzienność. Powtarzalne czynności dają nam poczucie stabilności i przewidywalności. Z perspektywy ewolucyjnej człowiek naturalnie zmierzał ku osiadłemu trybowi życia, co otworzyło mu drogę do kształtowania wspólnot, rozwoju kultury oraz akumulacji zasobów. Warto zastanowić się chwilę, czy ten naturalny pęd do powtarzalności jest rzeczywiście słuszny?

Od rytuału po obsesję

Zyjemy w świecie, jak mówił Zygmunt Bauman, płynnej nowoczesności. Być może ten fakt umyka naszej uwadze, a to dlatego, że posiadliśmy niezwykłą łatwość w dostosowaniu się do coraz to bardziej skomplikowanego świata. Oskarżać oczywiście można smartfony, wyścig szczurów, zanik nocnego nieba lub przesadną higienę, tylko kto jest prawdziwym winowajcą? W zasadzie wszystko, co znamy w przyrodzie, opiera się na powtarzalności, symetrii i cykliczności. Możemy to zaobserwować chociażby w muzyce, wierszach, architekturze, kosmosie czy nawet w DNA istot żywych. Rutyna jest wpisana w samą istotę ludzkiej natury.

Temat nawyków i zwyczajów, choć kontrowersyjny, przyjmuje skrajną postać w przypadku obsesji, kompulsji, a nawet natręctw. Pojawia się pytanie, czy każdy z nas ma w sobie taki pierwiastek? A co więcej, czy może on być naturalną częścią funkcjonowania psychiki? – Myślę, że musimy zwrócić uwagę na różnicę pomiędzy rytuałem a natręctwem i nasileniem tego ostatniego. Rytuały są nam potrzebne, natręctwa nas pozornie uspokajają, szczególnie osoby prezentujące lęk jako cechę dominującą ich osobowości. Prezentują one natręctwa w codziennym funkcjonowaniu, natomiast problem pojawia się, kiedy nie są w stanie nad nimi zapanować – mówi warszawska psychiatra Katarzyna Wyciszkiwicz.

Co, jeśli lepiej być nie może?

Kiedy ludzki umysł już w coś uwierzy, trudno go od tego odwieść – fakty i logiczna argumentacja na wiele się nie zdadzą. Dodajmy do tego uporczywą potrzebę perfekcjonizmu, a naszkicujemy portret psychologiczny Melvina Udalla (granego przez Jacka Nicholsona) z filmu Jamesa L. Brooksa „Lepiej być nie może”. Protagonista, pewny

Iluzje psychiki w kinie



Kręgi obsesji – niepokój zamknięty w powtarzalności

siebie ekscentryk, nieprzystosowany do życia w społeczeństwie, staje się ofiarą własnych przyzwyczajęń. Jego natręctwa dotyczą wielu aspektów codziennego życia – od obsesyjnego dbania o higienę po kontrolowanie każdej najmniejszej rzeczy. Wewnętrzne przymusy pozwalają bohaterowi na chwilowe złagodzenie lęków, lecz jednocześnie prowadzą do coraz bardziej utrudniającego codzienne funkcjonowanie rytualizmu. Melvin, zmagający się z zespołem zaburzeń obsesyjno-kompulsywnych, ukazany został jako osoba dziwaczna, wyalienowana i ekscentryczna. Obecność psa Verdella staje się katalizatorem zmian, pomagającym bohaterowi oswoić się z nowymi, dotąd nieznanymi aspektami codzienności. Dzięki przyjaźni i miłości bohater całkowicie odmienia swoje życie, przełamując utarte schematy własnej strefy komfortu.

Przyjrzyjmy się teraz przedstawionej historii z większym dystansem i zastanówmy się, czy mamy tu do czynienia ze stygmatyzacją oraz utrwaleniem błędnych, stereotypowych schematów? Wybuchowy temperament głównego bohatera mógłby nas przekonać, że dowolna osoba cierpiąca na przedstawioną dysfunkcję posiada takie same cechy. Zaburzenia psychiczne, ich opisy i objawy pokazane na ekranie jednak niekoniecznie odzwierciedlają realia. Często, aby wywołać większe wrażenie u widza, reżyser sięga po zupełnie zniekształcony obraz, przesadzony lub całkowicie nieprawdziwy. Czy zatem miłość i przyjaźń są lekarstwem na chorobę psychiczną? Choć rzeczywiście mogą zapewnić wsparcie emocjonalne, zrozumienie i poczucie bezpieczeństwa, nie

zawsze są wystarczającym rozwiązaniem dla głęboko zakorzenionych problemów zdrowia psychicznego.

Co należy zrobić?

Co w sytuacji, gdy zacznie nas to dotyczyć? – Osoba, która żyje w ciągłym napięciu, lęku, nie potrafi skupić się na niczym innym niż jej obsesji i kompulsje. Staje się to uciążliwe dla niej samej i otoczenia. Należy wtedy skonsultować się z psychologiem, gdyż zaburzenia te bardzo dobrze leczy terapia behawioralno-poznawcza. Jeżeli terapeuta nie stwierdzi poprawy, powinien skierować nas do psychiatry, który powinien włączyć farmakoterapię jako kolejny etap leczenia. Nie należy bać się farmakoterapii – często przynosi znaczną poprawę i ustąpienie objawów. Działania niepożądane leku należy na bieżąco konsultować z prowadzącym lekarzem psychiatrą – tłumaczy Katarzyna Wyciszkiwicz.

Przyzwyczajenia i nawyki często mogą być postrzegane jako źródło stagnacji i ograniczeń. Czy zatem życie bez rutyny jest w ogóle możliwe? Można założyć, że nie tylko niemożliwe, lecz wręcz szkodliwe. Nie można sobie wyobrazić, że spędzenie całego życia w krainie mlekiem i miodem płynącej może być satysfakcjonujące. Przede wszystkim byłoby puste. Jednak to poczucie stabilności i pewnej kontroli, osiągnięte dzięki codziennym rytuałom, w istotny sposób wpływa na utrzymanie równowagi psychicznej we współczesnym, chaotycznym świecie.

Jan MAZURCZAK
janosi@st.amu.edu.pl

czym utkniesz na dłuższą chwilę, możesz liczyć na podpowiedź – relacjonuje Zosia. – Często jestem zaskoczona rozwiązaniami, jakie zostały użyte w pokoju. Ale dobry podział zadań i współpraca są kluczem do sukcesu. Presja czasu, którą się intensywniej odczuwa pod koniec gry, jest dużą motywacją, aby sprawnie rozwiązywać zagadki i zdążyć wy dostać się z pokoju przed upływem czasu – opowiada Natalia. – Świetnie się bawię, współpracując ze znajomymi i z moim narzeczonym podczas rozwiązywania zagadek. Drobne sprzeczki bardzo rzadko się zdarzają, a jeżeli się pojawiają są rozwiązywane od razu lub po zakończeniu zabawy – dodaje.

– Współpraca jest obowiązkowa. Nawet jeśli ktoś ma inne zdanie, warto go wysłuchać, bo każdy może interpretować różne rzeczy po swojemu. Różne perspektywy są pomocne przy wykonywaniu zadań. Kłótnie zdarzają się bardzo rzadko, ale jak człowiek przegada temat i skupi się na wyjściu z pokoju, to szybko się o nich zapomina – mówi Michał. Można więc uznać, że w escape roomach dominuje logika, która jednak okraszona jest dużą ilością dobrej zabawy.

To, co zapada w pamięć

Escape roomy swoimi zagadkami kuszą śmiałków wygłodniałych przygód. – Gdy chodziłam jeszcze do szkoły, myślałam, żeby w przyszłości zostać prywatnym detektywem. W escape roomie nigdy nie byłam, ale zachęcona przez przyjaciół planuję się wybrać w najbliższym czasie. Sporo czytałam na ten temat i myślę, że to może być naprawdę super przygodą. Uważam, że to doskonała odskocznia od problemów i możli-



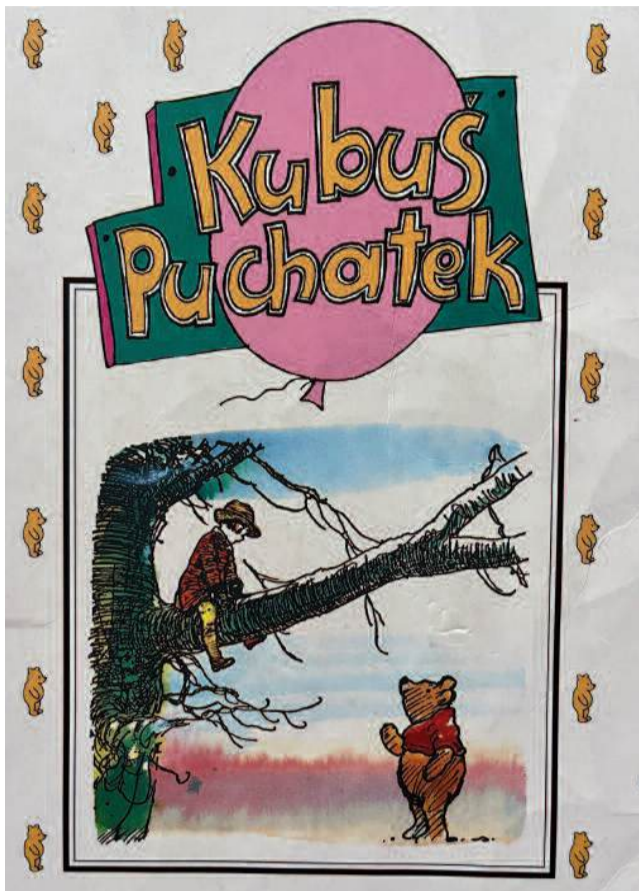
Escape roomy są czasem spędzonym pośród zagadek

wość skupienia się tylko na tym, co tu i teraz. Każdy pokój to inna historia i inna przygoda. Niektóre na pewno pozostają jednak we wspomnieniach na dłużej. Szczególnie wtedy, kiedy dzieje się coś szokującego – mówi Wiktoria.

– W jednym z toruńskich escape roomów byłam zamknięta w trumnie. Nie spodziewałam się tego, ale było to wynikiem rozwiązania poprzednich zagadek i warunkiem, by wpaść na kolejne. W środku trumny było bardzo mięciutko, jednak była to naprawdę niecodzienna sytuacja. Szczególnie że drzwi od niej były zamknięte i mogłam wy dostać się tylko za pomocą przycisku awaryjnego – opowiada Zosia. Pokoje potrafią zachwycać pomysłowością oraz zadziwiać swoim wyglądem i fabułą. – Najciekawszym pokojem, w którym byłam, były „Lochy Króla Artura”. Fabuła opowiada o tym, że zostajecie wtrąceni do lochu za zdradę i ma się 90 minut, by uciec przed egzekucją. Jest tam świetna scenografia, która bardzo wyróżnia ten pokój i pozwala się wczuć w średniowieczny klimat – dzieli się swoimi doświadczeniami Michał. Ale escape roomy potrafią też mrozić krew w żyłach. – W jednym z escape roomów, w którym musieliśmy wcielić się w detektywów i ocalić zakładnika, zostaliśmy zamknięci w skrzyni umieszczonej pod podłogą, a następnie posypani piaskiem – wspomina Natalia.

Escape roomy to bez wątpienia ciekawe doświadczenie, które warto przeżyć choć raz. To nie tylko zabawa, ale i prawdziwy test charakteru oraz relacji. Czy ty i twoi bliscy – przyjaciele lub ukochana osoba – potraficie działać razem w napięciu, szukając wyjścia? Zamknięci w jednym pokoju, zmuszeni do współpracy i znajdowania nieoczywistych rozwiązań, możecie przekonać się, jak silny jest wasz zespół oraz... wasze nerwy.

Agnieszka ŁUKASZEWSKA
agnluk7@st.amu.edu.pl



Nie liczy się rozmiar. Liczy się puchatość

W dobie ciągłych zmian technologicznych i coraz szybszego tempa życia wiele osób jest przebudcowanych. Media ciągle dostarczają nam nowych informacji o wydarzeniach z całego świata, a także zasympują nowymi bajkami czy filmami. Platformy streamingowe oferują wiele pozycji – zarówno dla dzieci, jak i dorosłych. Często trudno się zdecydować, co wybrać, dlatego wiele osób wraca do klasyków. Jedną z bardziej lubianych animowanych pozycji jest właśnie Kubus Puchatek.

Kubus Puchatek to postać, która od dekad łączy pokolenia i budzi pozytywne skojarzenia. Niewiele osób wie, że co roku 18 stycznia obchodzimy Dzień Kubusia Puchatka. Jest to jeden z najbardziej rozpoznawalnych misiów na świecie, a opowieści o nim towarzyszą dzieciom już od prawie stu lat.

Bajkowe wspomnienia

Historia misia o małym rozumku

Pierwszy raz Kubus Puchatek pojawił się na łamach książki w 1926 roku. Inspiracją do stworzenia bajki o tym misiu były zabawki Christophera, syna autora. Chłopiec swojego ukochanego misia nazwał Edward Bear, a A.A. Milne połączył tę postać z prawdziwym niedźwiedziem o imieniu Winnie, który zamieszkiwał londyńskie zoo. W ten sposób powstała pierwsza książka pod tytułem „Winnie-the-Pooh”. Dwa lata później pojawiła się kolejna pozycja „The House at Pooh Corner”.

Polskie przekłady autorstwa Ireny Tuwim ukazały się w 1938 roku jako „Kubus Puchatek” oraz „Chatka Puchatka”. Książki o Kubusiu przetłumaczono na 46 języków. Oprócz Kubusia występują również jego przyjaciele – ciągle przestraszony Prosiaczek, pełny energii Tygrysek, poukładany Królik i wiecznie smutny Kłapouchy. Dzięki uniwersalnemu przekazowi i dużej dawce humoru książki w szybkim tempie zyskały popularność na całym świecie. Nic więc dziwnego, że 18 stycznia Kubus Puchatek ma swój dzień. Data ta nie jest przypadkowa, ponieważ to dzień urodzin A.A. Milne’a.

Studenckie bajkowe wspomnienia

Bajki o Kubusiu Puchatku były bardzo popularne w czasach, gdy obecni studenci byli mali, wielu z nich ma z nimi dobre wspomnienia. – Jak byłam w przedszkolu, to każdego wieczoru czytałam z rodzicami „Kubusia Puchatka”, nie pozwalałam brać innej książki. Kiedy rodzice zaproponowali, że kupią mi nową, aby zamienić podartą i brudną wersję, zrobiłam awanturę na całe osiedle – mówi Ania, studentka dziennikarstwa. Z kolei Adam, student stosunków międzynarodowych, opowiada – Kubusia Puchatka najczęściej oglądałam. To dzięki niemu nauczyłem się empatii i tego, że każdy jest inny i ma swoje słabości. Teraz, gdy mam gorsze chwile, lubię przypominać sobie najlepsze fragmenty tych bajek.

Nie każdy student ma wspomnienia z najmłodszych lat związane z tym misiem. – Kubusia znam, ale jakoś nigdy nie oglądałam go jako dziecko, dopiero w liceum wyświetliły mi się sentencje z tej bajki. To wtedy zrozumiałam, jak dużą ma wartość i ile może nauczyć nas ta opowieść. Czasem myślę, że lepiej obejrzeć Kubusia niż kolejną komedię – mówi Zosia, studentka dziennikarstwa.

Klasyka, która wciąż inspiruje

Współczesne szkolnictwo bazuje na dobrze znanych i popularnych od wielu lat pozycjach. Nic więc dziwnego, że w wielu szkołach dzieci jako jedną z lektur czytają „Kubusia Puchatka”. Nie ma wątpliwości, że to, jakie bajki dzieci słuchają lub oglądają ma na nie wpływ. Natomiast cytaty z książek A.A. Milne’a na dobre

Dlaczego Kubus nadal nas urzeka?

– Przygody Kubusia Puchatka przedstawiają wartości, które są niezmiennie od pokoleń. Sentencje i mądrości zawarte w tej bajce często są rozumiane dopiero w dorosłości, a przez swoją prostotę łatwo można je przenieść na własne życie. Jest to też na tyle uniwersalna opowieść, że każdy jest w stanie wyciągnąć z niej coś dla siebie.

Czy bajki czytane w dzieciństwie wpływają na nasze dorosłe życie?

– Oczywiście! Te wczesne doświadczenia często kształtują nasze podejście do relacji w dorosłości, dlatego tak ważne jest, aby rzeczy czytane czy oglądane w dzieciństwie przedstawiały pozytywne zachowania i dobre wartości. Wspólne czytanie rozwija więź emocjonalną, co wpływa na pamięć emocjonalną dziecka.

Co zyskujemy dzięki czytaniu od małego dziecka?

– Bajki, które czytaliśmy w dzieciństwie, mają nieoceniony wpływ na nasze dorosłe życie. Pomagają w rozwijaniu empatii i rozumienia innych oraz kształtują nasz światopogląd.

Czy dorośli też mogą wyciągnąć jakieś lekcje z Kubusia Puchatka?

– Dorosłe osoby często odwołują się do prostych lekcji wniesionych z bajek, szczególnie w chwilach kryzysu. Znajdują w nich przypomnienie, że warto cenić małe rzeczy w życiu i pielęgnować relacje z innymi.

wpisały się w kulturę i są bardzo często używane nie tylko przez dzieci.

„Jak dobrze, że siebie mamy”; „Przyjacielu, jeśli będzie Ci dane żyć sto lat, to ja bym chciał żyć sto minus jeden, bo nie chcę żyć ani dnia bez Ciebie”; czy mój ulubiony: „Kubusiu, jak się pisze MIŁOŚĆ? Prosiaczku, MIŁOŚĆ się nie pisze, MIŁOŚĆ się czuje” – to kultowe cytaty z tej opowieści. Często ludzie nawet nie zdają sobie sprawy, że te i wiele innych cytatów pochodzi właśnie z książki stworzonej dla dzieci. Świętując Dzień Kubusia Puchatka, możemy nie tylko oddać hołd twórczości A.A. Milne’a, ale również odnaleźć w sobie dziecko, które potrafi cieszyć się prostymi radościami życia. W końcu, jak mówi sam Kubus: „Dziś jest dziś. To mój ulubiony dzień”.

Milena Spiralska
milspi@st.amu.edu.pl

Stoicyzm – filozofia przyszłości?

Jak i dlaczego filozofia, która ma ponad 2000 lat, zyskuje aktualnie na popularności? W świecie pełnym chaosu, nadmiaru informacji i nieustannego pośpiechu stoicyzm staje się niezwykle aktualny. Proste, lecz fundamentalne zasady, które wiele lat temu sformułowali Seneka, Epiktet i Marek Aureliusz, dziś inspirują zarówno liderów biznesu, jak i osoby poszukujące wewnętrznego spokoju. Czy stoicyzm może być filozofią przyszłości?

Stoicyzm uczy, że choć nie mamy wpływu na zewnętrzne okoliczności, możemy kształtować nasze reakcje i zachować wewnętrzną równowagę. Ta prosta, lecz podniosła idea zdobywa popularność dzięki książkom, blogom i codziennym praktykom, które pomagają odnaleźć spokój i sens w świecie pełnym niepewności. Jednocześnie nie brakuje głosów krytycznych – czy akceptacja rzeczywistości nie prowadzi do bierności? Jak stoicyzm można zastosować w codziennym życiu? Aby lepiej zrozumieć fenomen stoicyzmu w dzisiejszych czasach, porozmawialiśmy z profesorem Bartoszem Hordeckim, filozofem i doświadczonym naukowcem Wydziału Nauk Politycznych i Dziennikarstwa UAM.

W ostatnich latach obserwujemy „nową falę” popularności stoicyzmu. Bywa on określany jako „filozofia trudnych czasów”. Czy pamięta pan czasy „poprzedniej fali” i kiedy ostatnio stoicyzm był popularny aż tak, jak dzisiaj?

– Na to pytanie można odpowiedzieć dwojako. Po pierwsze stoicyzm w kulturze europejskiej jest obecny od zawsze, choć przechodził różnorodne transformacje. Wiele kategorii chrześcijańskich, którymi się posługujemy, to przekształcone kategorie stoickie. W różnych odmianach chrześcijaństwa – zarówno w prawosławiu, jak i w katolicyzmie czy protestantyzmie – znajdujemy ślady stoicyzmu. Jeśli jednak wskazać konkretną „falę” popularności, można się cofnąć do lat 20. XX wieku. Jak przypominał jakiś czas temu Jan Hartman, w 1927 roku Max Ehrmann opublikował poemat prozą pt. „Dezyderata”. Utwór zdobył olbrzymie uznanie. Był bezpośrednio inspirowany ideami stoickimi i wielu ludzi zaczęło w nim widzieć odpowiedź na wyzwania swoich czasów. Jeśli chodzi o Polskę, w czasach PRL-u również zauważalna była fascynacja stoicyzmem, szczególnie wśród opozycji. Zbigniew Herbert, poprzez swojego Pana Cogito, świadomie nawiązywał do Marka Aureliusza czy Seneki. Jego twórczość była pewnym antidotum na dewastację moralną, jaką niósł komunizm. Tak więc stoicyzm pojawia się w różnych okresach, zawsze jako odpowiedź na trudne czasy.

Czy zgadza się Pan z opinią, że współczesny stoicyzm jest daleki od pierwotnego kształtu? Jeśli tak, to jak pan to ocenia: jako nową drogę do oświecenia czy banalną komercjalizację?

– Nie nazwałbym tego zjawiska banalną komercjalizacją. Każda recepcja jest interpretacją, a więc i pewnym przekształceniem. Stoicyzm w takim kształcie, w jakim narodził się i rozwijał w starożytnej Grecji i Rzymie, już nie powróci. Żyjemy w zupełnie innym świecie, w innym kontekście mentalnym

i technologicznym. Człowiek XXI wieku myśli w kategoriach, które nie były znane starożytnym Grekom. Jednocześnie istnieje coś, co sprawia, że ludzie wracają do filozofii stoickiej. W niepewnych czasach, kiedy tracimy poczucie wpływu na rzeczywistość, stoicyzm oferuje pocieszenie i możliwość skupienia się na tym, co jest w naszej mocy. To nie jest komercjalizacja, a raczej poszukiwanie narzędzi, które nam pomagają, by radzić sobie z cierpieniem i strachem. Stoicyzm został wykreowany jako odpowiedź na trudne czasy. Myślę, że to właśnie tłumaczy jego współczesny renesans.

Czy stoicyzm jest filozofią międzynarodową? Można go zastosować w każdej kulturze czy to jednak doktryna dla ludzi Zachodu?

– Stoicyzm ma uniwersalny charakter, choć wyrósł z kultury zachodniej. Myślę jednak, że dystans czasowy pomiędzy nami a starożytnymi stoikami jest większy niż dystans kulturowy. Dla współczesnego Polaka czy Hiszpana stoicyzm w jego oryginalnej postaci jest na ogół równie obcy co dla Chińczyka czy Nigeryjczyka. Nie to przeszkadza w czerpaniu inspiracji z tej filozofii, ponieważ teksty stoickie poruszają problemy uniwersalne, takie jak cierpienie, emocje czy poszukiwanie sensu. Warto też zauważyć, że sami stoicy byli kosmopolitami i wierzyli, że mądrość nie ma narodowości. To, czy ktoś jest mądry czy nie, zależy od jego pracy nad sobą, a nie od miejsca, w którym się urodził. W związku z tym stoicyzm może być inspiracją dla każdego, niezależnie od kultury pochodzenia.

Czy stoicyzm jest dostępny dla każdego, czy też wymaga on określonego poziomu wykształcenia lub filozoficznego przygotowania?

Wspaniała tradycja



Logo klubu KKT Orzeł Poznań na pięćdziesięciolecie działalności

Mawia się, że sport jest dla każdego, ale czy rzeczywiście tak jest? Co na przykład ze sztukami walki? Wydają się być przeznaczone dla osób o szczególnej sile i umiejętnościach. A jednak – spróbować może każdy! Zwłaszcza w Poznaniu, gdzie od 1974 roku działa jeden z najstarszych klubów karate w kraju – Klub Karate Tradycyjnego „Orzeł”.

Obecnie klub prowadzi wiele sekcji zarówno w Poznaniu, jak i w okolicach. Grupy dzielą się według stopnia zaawansowania i wieku, a przedział wiekowy jest ogromny, zaczynając od czterolatków, kończąc na dorosłych. Powstaje tu też wiele programów i różnych inicjatyw. Klub ma wielu instruktorów, młodszych i starszych, w tym także aktualnych studentów Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. Są oni wielokrotnymi medalistami na imprezach krajowych i międzynarodowych. Starają się przekazywać młodym zawodnikom najważniejsze wartości oraz wspierają ich w sportowej drodze. Aktualnym prezesem klubu jest sensei Szymon Gogola, który prowadzi także zajęcia karate na naszym uniwersytecie i zgodził się udzielić odpowiedzi na kilka pytań.

Czym tak naprawdę jest karate?

– O karate można powiedzieć, że jest przede wszystkim sztuką, bo nie jest to po prostu sport. Oczywiście można traktować je jako sport, ale wtedy rozpatrujemy to jako rywalizację sportową, jest to aspekt ważny, ale najważniejsze w karate jest to, że walczymy ze sobą, ćwiczymy po to, żeby się rozwijać. Jest taka zasada, którą się stosuje w Japonii, czyli samodoskonalenie, i to stanowi sedno. Nie trzeba tego robić na jakimś superwysokim poziomie, ale mamy ruch, zachowujemy mobilność, dynamikę, szybkość, a to jest najważniejsze.

– Historycznie rzecz biorąc, stoicyzm był doktryną bardzo wymagającą, a nawet, jak twierdzą niektórzy, nieludzką. Idea wyłączenia emocji i pasji, aby w pełni kontrolować swoje życie, jest niezwykle trudna do osiągnięcia. Nawet sami stoicy prawdopodobnie nie realizowali w pełni swoich ideałów. Oferowali raczej program maksimum, który wyznacza kierunek, niż coś, co można osiągnąć w stu procentach. Mimo to ważne elementy stoicyzmu można aplikować w swoim życiu, również dziś. Należy do nich m.in. identyfikacja tego, co możemy kontrolować. Każdy może też czerpać inspirację z rad stoickich, takich jak: „Zmień siebie, zamiast próbować zmieniać świat”. Wiele jednak zależy od naszej psychiki i otwartości na zmiany. Stoicyzm nie wymaga formalnego wykształcenia, natomiast wewnętrznej gotowości do pracy nad sobą.

Jak stoicyzm można zastosować w kontekście współczesnych wyzwań, takich jak nadmiar informacji, uzależnienie od mediów społecznościowych czy „kultura porównywania”?

– Stoicyzm może być odpowiedzią na wiele współczesnych problemów, ponieważ uczy nas szukać równowagi i dystansu. Stoicy zalecali balans, umiar i refleksję, co jest szczególnie istotne w erze nadmiaru informacji. Warto na przykład ćwiczyć się w odłączaniu od mediów, praktykować cyfrowy detoks. To przypomina stoickie dążenie do spokoju ducha poprzez ograniczenie wpływów zewnętrznych. Yuval Noah Harari w swojej najnowszej książce „Nexus. Krótka historia informacji” twierdzi, że powinniśmy świadomie ograniczyć korzystanie z technologii. Ma to w sobie nutę stoicką. Współczesne media mogą być destrukcyjne, ale możemy nauczyć się zarządzać ich wpływem poprzez refleksję i edu-

Karate jest sztuką samodoskonalenia, w takim razie, jakich umiejętności nabywamy dzięki karate, przydatnych w codziennym życiu?

– Patrząc na przykład na dzieci, to moim zdaniem, można wyciągnąć bardzo wiele z karate dla codziennego życia. W ostatnich zawodach startowała dwójka dzieciaków, które są nadrużliwe. Mają problem ze skupieniem. Fakt, że u nich to bardzo długo trwało, zanim pojechały na te pierwsze zawody jest ogromnym osiągnięciem, bo udało im się skupić na tym zadaniu i na dodatek zajęły jakieś miejsca medalowe. Medale nie są oczywiście najważniejsze, ale chodzi o to, żeby osiągnęły sukces w związku z ich pracą, co jest najważniejsze. Gdy coś wyjdzie, czyli ta praca nad skupieniem, po japońsku zanshin – skupienie, gotowość – bardzo łatwo przenieść to na codzienne życie.

Skoro już mówimy o przekładzie karate na życie codzienne, to co by pan doradził wszystkim klubowym i pozaklubowym karatekom, tym młodszym i starszym zawodnikom?

– Nie przejmować się i ćwiczyć, nie załamywać się. Każdy ma swoją drogę. Jeśli ktoś zdobył mistrzostwo świata, to jest jego mistrzostwo świata. Dla niektórych maluchów tutaj, wyjazd na pierwsze zawody na zawody był mistrzostwem świata. Tylko ćwiczyć i się nie poddawać.

Co sensei powiedziałby komuś, kto chciałby zacząć, ale nie jest do końca przekonany, czy to dla niego?

– Zapraszamy. W zależności od tego, co każdy chce osiągnąć, karate może nie jest dla każdego. Jeżeli szuka się dużej ilości kontaktu w walce, to są inne sporty walki, w których powiedzmy – ta kontaktowość jest dużo większa. Ale w karate wbrew pozorom – ja też już bardzo długo ćwiczę i na różnych płaszczyznach – jest

O klubie

W 1990 roku Klub Karate Tradycyjnego „Orzeł” Poznań został członkiem Polskiego Związku Karate Tradycyjnego, co dało ogrom nowych możliwości zarówno zawodnikom, jak i instruktorom. Mowa tu o różnego rodzaju szkoleniach czy sposobności startów w zawodach międzynarodowych. Klub nadal jest jedną z najprężniej działających i najstarszych instytucji związanych z karate tradycyjnym w kraju.

W 2024 roku klub obchodził pięćdziesiąte urodziny – pół wieku na sportowej scenie. Najważniejszą imprezą zorganizowaną przez klub był XXIV Ogólnopolski Puchar Dzieci w Karate Tradycyjnym. Co roku w kalendarzu PZKT jest to jedno z największych wydarzeń, jednak ta edycja była wyjątkowa. Zawody odbyły się 15-16 czerwca 2024 na Morasku, przy współpracy z Uniwersytetem im. Adama Mickiewicza w Poznaniu. W ostatnim czasie klub realizował programy PZKT, takie jak „Rodzina Pro-Active” – bezpłatne zajęcia dla rodzin – czy „Mały Karateka” – również bezpłatne zajęcia, tym razem skierowane do dzieci w wieku wczesnoszkolnym. Warto wspomnieć także o akcji instruktorów sekcji z Cerekwicy, sensei Cypriana i sensei Klaudivii, przy współpracy z KKT Sanchin – „Karate w szpitalach”. Projekt ma na celu wsparcie mentalne oraz przekonanie, że karate jest dla każdego, poprzez ciekawe pokazy oraz treningi dla dzieci i rodziców w poznańskich szpitalach.

ten kontakt, jeżeli ktoś lubi. Treningi dają dużo lepsze samopoczucie, bo zapewniają wysiłek. Nie należy się bać, warto spróbować! Dla osób, które chciałyby zacząć i zależy im, aby być sprawnym, to uważam, że karate jest bardzo dobrą sztuką. W ogóle jestem zdania, że wszystkie sporty walki są bardzo dobrą sztuką.

Praca jako sensei na pewno nie należy do najłatwiejszych, ale co sprawia największą frajdę radość i satysfakcję z bycia senseim i czy w ogóle jest coś, co daje poczucie spełnienia instruktorom po wielu latach pracy nad sobą i podopiecznymi?

– Na pewno jest satysfakcja z pracy. Widok dzieciaków, które chcą się ćwiczyć, jeżdżą na zawody, doskonalą się i cieszą się tym, co robią, przejawiają ogromne postępy. Widać też ich rozwój, niektórzy przychodzą do nas jako maluchy, a czasami zostają na tyle długo, że teraz sami już są senseim. To bardzo uskrzydla, widać wtedy, że praca obu stron jest owocna.

rozmawiał Mateusz CHOJNOWSKI
matcho6@st.amu.edu.pl



Czy stoicyzm stanie się filozofią przyszłości?

karę. To właśnie duch stoicyzmu – kształtować siebie w relacji do świata zamiast pozwalać, by świat nas kształtował.

Czy w epoce, w której walka o prawa i zmiany społeczne są kluczowe, stoicyzm może być uznany za filozofię zbyt indywidualistyczną?

– Tak, to jedna z głównych wad stoicyzmu. Zarzuca się mu, że jest filozofią niemocy, która pociesza w obliczu braku wpływu na rzeczywistość. Stoicyzm powstał w czasach, gdy Grecy stracili autonomię polityczną i oferowali im pociechę w skupieniu na życiu prywatnym. Dziś, w epoce demokracji i zaangażowania obywatelskiego, takie podejście wydaje się niewystarczające. Stoicyzm, ze swoim nakazem „zarządzaj raczej sobą, nie światem”, może być postrzegany jako doktryna promująca bierność. Jednocześnie warto zauważyć, że taka percepcja nie jest do końca trafna. Wielu stoików zalecało, by w sposób przemyślny działać tam, gdzie mamy szansę coś osiągnąć. Ten postulat może być inspiracją do konstruktywnego działania. Może zachęcać, by nie rezygnować z bycia podmiotem.

Jakie dzieło stoickie poleciłby Pan osobie, która chciałaby poznać tę filozofię?

– Zdecydowanie poleciłbym rzymskich stoików, którzy dostosowali tę filozofię do praktycznych potrzeb życia. Epiktet i jego „Diatryby” oraz „Encheiridion” to świetny początek. Seneka, ze swoimi pięknie napisanymi „Listami moralnymi do Lucylusza”, także oferuje wiele cennych wskazówek. Oczywiście nie można zapomnieć o Marku Aureliusz i jego „Rozmyślniach”. To dzieła, które są zarówno inspirujące, jak i przystępne, a ich mądrość pozostaje aktualna do dziś.

rozmawiał Mikita TSIABUS
miktisi@st.amu.edu.pl

Sejm na tak, prezydent na nie

Jeszcze w listopadzie ubiegłego roku rząd przyjął projekt ustawy o zmianie ustawy o sporcie – #czasnakobiety w sporcie. Jednakże prezydent Andrzej Duda skierował nowelizację ustawy o sporcie do Trybunału Konstytucyjnego 23 grudnia 2024 roku, a co za tym idzie, wstrzymał planowane wejście ustawy w życie 1 stycznia. Decyzja ta spotkała się z bardzo negatywnym odbiorem, w szczególności ze strony polskich zawodniczek.

Nowe przepisy miałyby wprowadzić tak zwany stosunek liczbowy płci w zarządach Polskich Związków Sportowych. W tych liczących od dwóch do pięciu członków znaleźć się powinni co najmniej jedna kobieta i co najmniej jeden mężczyzna, zaś w zarządach liczących sześciu lub więcej członków, co najmniej 30% składu stanowić mają przedstawiciele każdej z płci. Podobne zasady miałyby obowiązywać w organach kontroli wewnętrznej, takich jak komisje rewizyjne.

Wsparcie dla zawodniczek

Projekt ustawy przewiduje zwiększenie wsparcia dla zawodniczek będących członkami kadry narodowej. Stypendium sportowe miałyby przysługiwać przez okres ciąży oraz przez rok po urodzeniu dziecka zamiast dotychczasowych sześciu miesięcy, a jego wysokość miałaby zostać podniesiona z 50% do 81,5%. Podjęte miałyby zostać także kroki, by przeciwdziałać przemocy i dyskryminacji w sporcie. Nowelizacja nakładałaby na kluby sportowe, związki sportowe oraz spółki zarządzające ligą zawodową obowiązek przeciwdziałania przemocy. Mowa tu o przemocy psychicznej, wykorzystywaniu seksualnym dyskryminacji i innych nadużyciach wobec zawodników.

Standardy ochrony zawodników muszą obejmować zasady równego traktowania ze względu na płeć, rasę, pochodzenie etniczne, narodowość, religię, wyznanie, światopogląd, niepełnosprawność, wiek lub orientację seksualną. Wprowadzone miałyby zos-



Ustawa trafiła do Trybunału Konstytucyjnego

tać funkcje rzecznika ochrony praw zawodników oraz pełnomocników do spraw przeciwdziałania przemocy i dyskryminacji w sporcie, którzy mieliby za zadanie monitorować i raportować przypadki nadużyć.

Przyczyny

„Wątpliwości Prezydenta RP budzi dodana art. 1 pkt 3 skarżonej ustawy konstrukcja prawna zawarta w art. 9, która przewiduje powiększenie składów zarządów polskich związków sportowych o obowiązkowych jego członków w postaci przedstawiciela lub przedstawicieli zawodników kadry narodowej w sporcie, w którym ten związek organizuje i prowadzi współzawodnictwo sportowe. Przy czym na każdym siedmiu członków zarządu polskiego związku sportowego wchodzi co najmniej jeden przedstawiciel zawodników kadry narodowej” – czytamy w oficjalnym komunikacie Kancelarii Prezydenta RP.

Negatywna ocena

Decyzja prezydenta budzi wzbudziła spore emocje nie tylko wśród polityków, ale przede wszystkim wśród kobiet związanych ze

sportem. W mediach społecznościowych pojawił się apel podpisany przez znane postaci ze świata sportu, takie jak Justyna Kowalczyk-Tekieli, Monika Pyrek, Magda Linette czy Marcin Gortat, wyrażający sprzeciw wobec decyzji prezydenta. Za każdym razem podkreślano, że walka toczy się nie o przywileje, ale o normalność i równe traktowanie w sporcie.

– Jestem przekonana, że nowelizacja ustawy o sporcie, którą Sejm przegłosował w listopadzie minionego roku wprowadzi wiele dobrych zmian. To ustawa, która wzmocni nie tylko rolę kobiet w polskim sporcie, ale wszystkich sportowców na każdym etapie ich kariery – mówi mistrzyni olimpijska z Rio de Janeiro w wioślarstwie Natalia Madaj-Smolinska.

Mistrzyni zaznacza że projekt zakłada nie tylko przeciwdziałanie dyskryminacji i przemocy w sporcie, ale również miał wprowadzić dodatki do stypendiów dla sportowców, którzy kontynuują edukację. – Jako była zawodniczka, mistrzyni olimpijska w pełni popieram nowelizację ustawy i mam nadzieję, że wejdzie ona w życie. Plan zakładał, że od 1 stycznia polski sport i zawodnicy będą objęci tymi rozwiązaniami, jednak prezydent zdecydował inaczej, szkoda. Wierzę jednak, że to kwestia czasu. Sportowcy zawsze bardzo sumiennie i cierpliwie pracują na swój sukces i godne reprezentowanie Polski, mam jednak nadzieję, że w tym przypadku ta cierpliwość nie będzie aż tak konieczna – podsumowała.

„Dostaliśmy od prezydenta Andrzeja Dudy gorzki prezent. Pan prezydent dzień przed Wigilią postanowił odmówić podpisania nowelizacji ustawy o sporcie, która jest fundamentem dobrych zmian w sporcie” – powiedział w poświęconej konferencji prasowej Minister Sportu i Turystyki Sławomir Nitras. Minister skrytykował również brak konsultacji ze strony prezydenta z przedstawicielami środowiska sportowego, w tym z ambasadorkami projektu, takimi jak Justyna Kowalczyk-Tekieli czy Magda Linette. Wyraził obawę, że decyzja prezydenta może być wynikiem wpływu działaczy sportowych, którzy obawiają się utraty swoich pozycji.

Niestety pozostało tylko czekanie. Obecnie nie ma publicznie dostępnych informacji na temat terminu rozpatrzenia tej sprawy przez Trybunał Konstytucyjny. Warto jednak zauważyć, że w przeszłości niektóre sprawy czekały na rozpatrzenie nawet przez rok.

Olga KRĘGIELSKA
olgkre@st.amu.edu.pl

W sportach zespołowych każda rola jest ważna. Nawet w Formule 1, w której zespoły mają dwóch kierowców, którzy pracują na swoje indywidualne osiągnięcia, liczy się współpraca. Ostatnio spore problemy z nią ma Red Bull, który od kilku lat nie może znaleźć dobrego kierowcy współpracującego z Maxem Verstappenem.

Rubens Barrichello, Valtteri Bottas, Mark Webber – co łączy tych kierowców Formuły 1? W swojej karierze pełnili rolę „dwójek”, czyli kierowców których zadaniem było osiągnięcie dobrych wyników, ale nie aż tak dobrych jak ich koledzy z zespołów, będący mistrzami świata. Podobną rolę do niedawna w Red Bullu pełnił Sergio Perez, który po fatalnej dla siebie kampanii 2024 zostanie zastąpiony przez Liama Lawsons. Pytanie tylko, czy Red Bull nie wpadł w pętlę zbyt wysokich wymagań i pochopnych decyzji?

Błogosławieństwo i przekleństwo

Sergio Perez stracił fotel w Red Bullu w podobny sposób, w jaki go uzyskał. Meksykański kierowca przeszedł do zespołu z Milton Keynes na początku 2021 roku, zastępując spisującego się poniżej oczekiwań Alexa Albona – zajął siódme miejsce, podczas gdy będący lepszym zawodnikiem austriackiej ekipy Max Verstappen bił się o tytuł wicemistrzowski. Sezon 2020 w wykonaniu Taja pozostawiał wiele do życzenia – Albon nie był w stanie maksymalizować wyników na torze oraz miał sporo niepotrzebnych wypadków i nie potrafił zastępować Maxa w razie kłopotów. Przejście do Red Bulla pozwoliło Perezowi przedłużyć karierę w F1, choć początkowo nie dawano mu szans na start w sezonie 2021. To błogosławieństwo okazało się później przekleństwem.

Zawodnik z Guadalajary początkowo spisywał się nieźle, będąc w miarę blisko Verstappena, ale także radząc sobie wtedy, gdy Max nie potrafił podolać. Perez sprawdzał się również w roli „ochroniarza” i zawzięcie bronił się przed atakami kierowców, którzy mogli także zaatakować Verstappena. Postawa Sergio imponowała do tego stopnia, że sam Holender nazwał swojego kolegę z zespołu legendą podczas obrony przed Lewem Hamiltonem w trakcie decydującego Grand Prix Abu Zabi w 2021 roku. Rok ten nie przebiegł bez drobnych wpadek. Pod-

Problem drugiego fotela



Sergio Perez w sezonie 2021. Po sezonie 2024 stracił fotel za zbyt słabe wyniki

czas Grand Prix Wielkiej Brytanii Perez nie zdobył punktów, podobnie jak Verstappen.

Kolejne lata okazały się jednak mniej łaskawe dla Perez – pojawiły się większe wymagania, a dodatkowo Sergio miał coraz więcej wpadek na koncie w postaci wypadków oraz zajmowania niskich pozycji. Miarka przebrała się w 2024 roku – jak dotąd najgorszym dla kierowcy z Meksyku. Gdy Max wywalczył swoje czwarte mistrzostwo, Sergio zajął dopiero ósme miejsce. Było ono wynikiem licznych kolizji oraz nieosiągania solidnych rezultatów. Początkowo zespół podpisał kontrakt z Perezem do 2026 roku, lecz ze względu na słabe wyniki podjęto decyzję o przedterminowym zerwaniu umowy, chociaż wedle słów szefa zespołu Christiana Homera Meksykanin ma pozostać z drużyną jako jej ambasador. Jego następcą zostanie Liam Lawson, który dotychczas startował w drugim zespole Red Bulla – Visa CashApp RB.

Fotelowa loteria

Awans Lawsons budzi jednak pytanie o jego zdolności. Nowozelandczyk wystartował tylko w jedenastu wyścigach, podczas gdy jego kolega zespołowy, Yuki Tsunoda, ma na koncie

cztery pełne sezony. Co więcej, Japończyk spisywał się w tym sezonie lepiej od Lawsons (choć trzeba zaznaczyć, że sam Lawson wszedł dopiero w połowie sezonu, zastępując słabo spisującego się Daniela Ricciardo). Za zaangażowaniem mniej doświadczonego zawodnika mają przemawiać natomiast większe możliwości rozwoju oraz lepsze tempo podczas prywatnych testów Red Bulla.

Red Bull jest przy tym zespołem, który od kilku lat ma problem ze znalezieniem dobrego partnera zespołowego dla Maxa. Trudności z wyborem „dwójki” zaczęły się już w 2018 roku, gdy Daniel Ricciardo ogłosił swoje przejście do Renault. Daniel i Max tworzyli bardzo silny duet, jednak to Verstappen miał być nowym liderem, choć to Ricciardo był w zespole dłużej. Ricciardo odchodząc, zostawił za sobą dziurę, której do tej pory nie udało się wypełnić. Następcą kierowcy z Antypodów został Pierre Gasly, który został zdegradowany do juniorskiego zespołu po zaledwie pół roku. Następnie wybór padł na wspomnianych wcześniej Alexa Albona i Sergio Perez. Gasly’ego i Albona łączyło niezbyt duże doświadczenie – Pierre miał za sobą ledwo jeden sezon i kilka wyścigów, natomiast Alex dołączył do Red Bulla po przejechaniu tylko dwunastu rund. Daniel na awans czekał dwa i pół sezonu. Max awansował natomiast po jednym sezonie i trzech wyścigach, choć wyróżniał się znacznie większym talentem od pozostałych zawodników.

Pytanie brzmi więc, czy problemem w przypadku Red Bulla nie jest sam zespół? Decyzje podejmowane na gorze nie zawsze się sumowały, a dodatkowo dość mocno wywierano presję na zawodnikach (słynne 0,3 sekundy jako dystans, jaki ma być między Maxem a innym zawodnikiem w kwalifikacjach). Sprawia to, że nietławo jest ocenić, kto ma więcej do powiedzenia w tej sprawie. Decyzja o zatrudnieniu Liama Lawsons może okazać się zgubna, zwłaszcza że w sezonie 2025 Red Bull będzie zaczynał z trzeciego miejsca. Zespół z Milton Keynes mógł także postawić na Carlosa Sainza, który pożegnał się z Ferrari, a wydawał się przy tym bardziej stabilnym zawodnikiem. Jak będzie naprawdę, przekonamy się 14 marca, gdy wystartuje nowy sezon Formuły 1.

Bartosz KABACIŃSKI
barkab1@st.amu.edu.pl